





V 92  
WACŁAW GAŚSIOROWSKI

# MROK

„POSIADAM SKARB, KTÓREGO CAŁY  
ŚWIAT NIE ZDOLEN JEST MI WYDRZEĆ:  
TYM SKARBEM JEST ŚMIERĆ“.

ZENON Z GITNUM.



LWÓW 1907  
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO  
WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA.

LWOWOCHOWA WALKAW

**NOWSZE WYDAWNICTWA**  
**KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO**

WE LWOWIE.

---

<b>d'Annunzio.</b> Romanse Ilili I. Dziewice skał. Przekład Leopolda Staffa . . . . .	Kor.	3.—
— Dzwony, Nowele . . . . .		1.50
— Romanse róży I. Rozkosz. Przekład Józefa Ruffera II. Niewinny. Przekład Leop. Staffa . . . . .		4.—
— III. Tryumf śmierci. Przekład Leop. Staffa . . . . .		5.—
<b>Brzozowski Stanisław.</b> Z dymem pożarów. Poemat dramatyczny.		
— Kultura i życie. 1. Zagadnienia sztuki i twórczości. 2. W walce o światopogląd . . . . .		4.—
<b>Forel August dr.</b> Zagadnienia seksualne . . . . .		10.—
<b>Gąsiorowski W.</b> Pani Walewska. 2 tomy . . . . .		8.—
— Orleńca. Wybór powieści wojskowych Napoléońskich . . . . .		2.60
<b>Irzykowski K.</b> Pałuba. Sny Maryi Dunin . . . . .		5.50
<b>Jabłonowski Wł.</b> Wśród obcych. Szkice literackie . . . . .		3.—
<b>Jeż T. T.</b> Za gwiazdą przewodnią, 2 tomy . . . . .		6.—
<b>Kasprowicz J.</b> Miłość. Z ilustracjami E. Okunia i E. M. Lilliena Kor. 6.—, w ozdobnej oprawie . . . . .		8.—
— Moja pieśń wieczorna. Poematy, z portretem autora W ozdobnej oprawie . . . . .		4.—
— Salve Regina. Poematy Kor. 3.50, w ozd. opraw. . . . .		5.—
<b>Key Ellen.</b> Miłość i małżeństwo Kor. 4.—, w oprawie . . . . .		2.60
<b>Klerkegaard Sören.</b> Dziennik uwodziciela. Przekład St. Lacka . . . . .		5.—
<b>Kipling R.</b> Druga księga Dżungli. Przełożył T. Mianowski, ilustrował Wł. Witwicki, w oprawie . . . . .		5.—
<b>Konopnicka Marya (Jan Waręż).</b> Przez głębinę. Poemat. . . . .		1.60
— Jasełka. Z muzyką Piotra Maszyńskiego . . . . .		5.—
<b>Kozłowski W. M.</b> Wykłady o filozofii współczesnej. . . . .		5.—
<b>Kraśniński Z.</b> Pisma wydane z autografów przez prof. Piniego. Wydanie krytyczne zupełne ze słowem		

MROK

Prawa autorskie i sceniczne zastrzeżone  
w całej Europie i w obrębie Stanów Zjednoczonych  
Ameryki Północnej.

WACŁAW GAŚSIOROWSKI

# MROK

SZTUKA WSPÓŁCZESNA W 3 AKTACH

CZYTELNIA

„POSIADAM SKARB, KÓREGO CAŁY  
ŚWIAT NIE ZDOLEN JEST MI WYDRZEĆ:  
TYM SKARBEM JEST ŚMIERĆ“.

ZENON Z CITTUM.



LWÓW 1907  
NAKLAD KSIĘGARNI POLSKIEJ (B. POŁONIECKI)  
WARSZAWA: E. WENDE I SPÓŁKA.



821.162.1-2

74

77

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

*Duchom zbołałym*

*poświęcam*

*Autor.*

OSOBY:

HENRYK CHWILECKI

MARYA CHWILECKA

Dr. ZAKĘCKI

ELKA ZAKĘCKA

ZBIŚWICZ

STANISŁAW WINTER

ALFRED WINTER

REMLER

STRZELISZ ŁABUDZIŃSKA

JAN KALECIŃSKI

MICHAŁ KALECIŃSKI

ZELTNER

CICHEJKO

SZTURMAN

RYMSZA

WAŁOWICZ

ANTONI, służący St. Wintera

KATARZYNA, służąca Chwileckich

I. ROBOTNIK

II. ROBOTNIK

III. ROBOTNIK

ROBOTNICY

RZECZ DZIEJE SIĘ W MIEŚCIE.

AKT PIERWSZY



Scena przedstawia mały gabinet w domu Chwileckich. Drzwi w lewej kulisie do dalszych pokoi, drzwi w prawej kulisie do przedpokoju, na boczne schody wyjściowe. W poprzecznej kulisie, po środku, szeroki otwór, zasunięty ciemno-zieloną, rozsuwającą się firanką. Otwór ten stanowi przejście do salonu Chwileckich i, w chwili gdy firanka jest rozsunięta, ukazuje w skróconej perspektywie salon.

Umeblowanie gabinetu bardzo skromne. Po lewej stronie, bokiem do sali widzów, biurko czarne (ewentualnie stół), założone papierami, po prawej, skórzana kanapka (ustawiona skośnie), przed nią mały stolik, pełen książek. Na ścianie, po stronie kanapki, dwa stare, zniszczone portrety wojskowe. Na wolnych ścianach gabinetu półki z książkami i papierami. Resztę umeblowania dopełniają czarne, wyplatane krzesła.

W przeciwieństwie do gabinetu rażąco spartańskiego — z chwilą gdy się firanka w poprzecznej kulisie rozsuwa, widać bardzo elegancki salon Chwileckich. Wrazie, gdy scena nie jest dość głęboką, starczy, aby perspektywa dawała bodaj jeden kąt salonu, byle krzyżująco odbijający swą kokieterią od skromności gabinetu.

SCENA I

HENRYK CHWILECKI, JAN KALECIŃSKI, MICHAŁ  
KALECIŃSKI, ZELTNER, RYMSZA, CICHEJKO,  
WAŁOWICZ, SZTURMAN I ROBOTNICY.

Za podniesieniem zasłony kotara, ukrywająca perspektywę salonu, jest zasuniętą szczelnie.

Henryk Chwilecki stoi za biurkiem, zwrócony twarzą do siedzących Kalecińskich, Zeltnera, Wałowicza, Cichejki, Rymszy i Szturmana (a więc bokiem do sali widzów) i kończy mowę.

Robotnicy ugrupowani za siedzącymi.

UWAGA: Chwilecki, lat około 40, krótka, ciemna broda, okulary, ubrany skromnie, krawat jaskrawo czerwony. Jan Kaleciński, stary robotnik, twarz ziemnista, siwe włosy. Michał Kaleciński, syn poprzedniego, młody robotnik dwudziestoletni. Wszyscy robotnicy a także dwaj Kalecińscy w krótkich, ciemno niebieskich bluzach, noszonych zazwyczaj przez robotników fabryk żelaznych. Robotnicy mają twarze okopcone, ręce czarne, odzież zbrukaną, na szyjach chustki brudnoczerwone. Zeltner zaś, Cichejko, Wałowicz, Szturman i Rymsza ubrani z waszecia, w kołnierzykach i czerwonych krawatach.

HENRYK:

(z patosem)

A więc, towarzysze, do dzieła!... Poruszmy wszystkie sprężyny, zewrzyjmy ramiona, stańmy ławą

w obronie naszych praw, idźmy na przebój, na walkę z kapitałem, na walkę z wyzyskiem, na pogiębienie burżuizmu, na zwycięstwo proletariatu... Żądajmy dziś i żądajmy jutro!!... Żądajmy dotąd aż nie runie ten gmach przesądów i wsteczności, aż nie zbutwieje ten przestarzały, cuchnący ustrój społeczny... Niech dziś, na dane hasło, umilkną młoty, zagasną paleniska, niech głusza śmiertelna zalegnie wszystkie warsztaty żelazniarskie... niech zadrżą dusze pijawek naszej krwawicy... Niech żyje strejk żelazniarski!...

ROBOTNICY:

(z zapalem)

Niech żyje strejk!... Fajrant, towarzysze! Niech żyje fajrant!...

HENRYK:

Ruszajcie, towarzysze, na stanowiska... Za dwie godziny zaczynamy... Proklamacje lada chwila będą gotowe i rozesłane podkomitetom. Czy ma który z towarzyszków, co do nadmienienia?...

ZELTNER:

(podnosząc się)

U Wintera możemy zbańczyć...

(pomruk między robotnikami)

HENRYK:

(zaniepokojony)

Jakto? Dlaczego? Przecież wczoraj jeszcze mówiliście...

ZELTNER:

Mówiłem, bo kto ich, szelmów, wiedział... Narodowcy od wczoraj agituja...

(patrzy znacząco w stronę Jana Kalecińskiego)

A może i nie tylko

sami narodowcy...

(Pomruk między robotnikami)

SZTURMAN:

Za łeb ich, łamistrąjków!...

WAŁOWICZ:

Muszą iść z nami!...

RYMSZA:

Im dobrze, ale nam nie dobrze!...

CICHEJKO:

Muszą strejkować!...

ZELTNER:

Winter przytem zagroził, że zamknie fabrykę...

GŁOSY ROBOTNIKÓW:

Niech spróbuje!...

To mu ją sami otworzymy!...

Potrafimy brać rentę i bez niego!...

Ja z nim pogadam!...

Z dymem go!...

HENRYK:

(zaambaraşowany)

Jest to okoliczność nie pomyślana z uwagi, że Winter i spółka należą do największych fabryk. Trzeba

temu zapobiedz, trzeba zobowiązać opornych do solidarności w imię dobra ogółu pracowników. Strejk nasz, w przededniu wyborów do izby, ma nieobliczalne znaczenie... może wpłynąć na podział mandatów, może dać nam wpływy u steru... Ale, z pozwoleniem, wszak delegatem u Wintera jest towarzysz Kaleciński?...

JAN KALECIŃSKI:

(podnosząc się ociężale)

A no cóż... nie ma co... Zeltner powiedział jak jest...

MICHAŁ KALECIŃSKI:

(mitygując)

Co ojciec znów...

JAN KALECIŃSKI:

(z mocą)

Powiedział, jak jest... Naszym nie sporo, nie sporo do strejku, bo ledwie co po ostatnim się uciszyło. I, na mój rozum, strejk mi się nie widzi...

(pomruk groźny robotników. Michał chce powstrzymać ojca od dalszego mówienia)

JAN KALECIŃSKI:

(z wybuchem)

Cóż?... Może mam łąać???... Milczałem, ale skoro towarzysz przewodniczący pyta, powiadam...

GŁOSY ROBOTNIKÓW:

Łamistrajk!

Precz z komitetu!

Narodowiec!

Burżuj!...

JAN KALECIŃSKI:

(wzburzony)

Nie żaden burżuj, jeno taki sam robociarz, jako i wy, a tyle bacniejszy, że, krom tego drągala, pięcioro drobiazgu mający do żywienia... A skoro wam się nie podobam, to mogę sobie pójść!...

(Pomruk).

SZTURMAN:

A patrz, żebyś doszedł cały!...

(Pomruk głośniejszy)

HENRYK:

(dzwoni)

Towarzysze, dajcie mu dokończyć.

JAN KALECIŃSKI:

(hardo)

Gróżb się nie boję. No i nie wam uczyć mnie solidarności. I nie o mnie tu chodzi, lecz o tych, którym nie wytłumaczysz takiej rzeczy, której sam nie czujesz. Co tu kręcić, co mędrkować. Nam, u Wintera, źle nie jest... a może być tylko gorzej... Ostatnia awantura fabrykę szarpnęła, od roku robimy na zapas... Stary dokłada...

CICHEJKO:

Wszystko musi oddać!

JAN KALECIŃSKI:

Krótko mówiąc, zarząd ma siłę między robociarzami. Do strejku można napędzić, ale co po nim kiedy my, u Wintera, nie mamy nawet żądań...



SZTURMAN:  
Ośmiogodzinny dzień!

CICHEJKO:  
Sześciogodzinny!

JAN KALECIŃSKI:  
No tak, tak, a ja wam powiadam, że u Wintera możemy rady nie dać... bo mnie pierwszemu się nie widzi...

(Pomruk robotników).

MICHAŁ KALECIŃSKI:  
Co ojciec!...

GŁOSY ROBOTNIKÓW:  
Na dwóch stołkach siedzi!  
Precz z Judaszem!

WAŁOWICZ:  
Więc to wasza zasługa!...

SZTURMAN:  
Kupili go!

JAN KALECIŃSKI:  
(ponuro)  
Łatwo wam wygadywać!... Żeby tam jeden chociaż gałgan był... ale kiedy po ludzku mówią, kiedy nam ustępują to, co chcecie, człowiek nie zwierz... Żeby wszędzie było tak, jak u Wintera, nie byłoby takiej niedoli między naszymi robociarzami...

HENRYK:  
(poruszony)  
Istotnie, towarzysze, u Wintera panują wyjątkowe stosunki... On sam skądinąd zasługuje na wielkie uznanie...

(Pomruk zdziwienia, Henryk orientuje się).

lecz wszystko to nie wyklucza obowiązku solidarności, nie może wpłynąć na zmianę raz przyjętej uchwały... Wobec tego, proponuję wydelegować dwudziestu towarzyszy do pomocy podkomitetowi i dać w tym razie pełnomocnictwo Zeltnerowi...

GŁOSY ROBOTNIKÓW:  
Tak, Zeltnera im dać, Zeltnera!...

HENRYK:  
Wierzcie mi, towarzysze, ja pierwszy bolałbym, gdyby aż do przemocy należało się uciec... ale, czyż wolno nam się cofać?... czyż wolno nam sprawę ogółu podporządkowywać interesowi jednostki — a bodaj grupy?...

(wpadając w zapał)

rękawica rzucona... musimy zwyciężyć... Dość mitręgi... Do porachunku!... Naprzód, towarzysze, po rewirach!... Niech żyje strejk!

GŁOSY ROBOTNIKÓW:  
Wiwat! Do fajrantu! Niech żyje strejk!

(Poruszenie ogólne. Siedzący wstają z miejsc, Henryk zaczyna żegnać rozchodzących się uściśnieniami rąk).

HENRYK:

Bywajcie, towarzysze, bywajcie. Do jutra. Do jutra.

(Rozgwar pomieszanych głosów. Robotnicy, a z nimi Zeltner, Wałowicz, Michał Kaleciński, Rymsza, Szturman i Cichejko wychodzą drzwiami na prawo, rozmawiając pomiędzy sobą tak, że rozgwar ginie stopniowo za sceną).

HENRYK:

(mówi do żegnających go)

Proklamacye wprost na rewiry. Bywajcie, bywajcie...

(Jan Kaleciński, podczas żegnania się, usuwa się ku lewej stronie tak, że gdy Henryk, po pożegnaniu się z ostatnim robotnikiem przy drzwiach, odwraca się, spotyka się oko w oko z Janem Kalecińskim).

SCENA II.

HENRYK CHWILECKI i JAN KALECIŃSKI.

(Henryk, spostrzegłszy Kalecińskiego, wyciąga doń rękę jak na pożegnanie).

HENRYK:

Do jutra, towarzyszu!...

JAN KALECIŃSKI:

Chciałem panu coś jeszcze...

HENRYK:

(roztargniony)

Proszę, bardzo proszę.

(Spogląda na zegarek).

Byle w krótkich słowach, boć nie mamy wiele czasu do stracenia... Niech pan siada...

JAN KALECIŃSKI:

Nic, postoję...

(Henryk staje za biurkiem i zaczyna przerzucać papiery, wyciągać z nich niektóre i układać w tece).

HENRYK:

Tak, tak, niezawodnie, rozumiem sytuację, ale nie ma rady... nie ma rady... amicus Plato... lecz nie w sprawie publicznej... Proletaryat bodaj po gruzach, a iść musi...

JAN KALECIŃSKI:

Ja też nie o tem chciałem. Rzecz w tem, że u nas zorganizowała się narodówka...

HENRYK:

(roztargniony)

Ach! No! Zwietrzałe piwo... Ogarek, wobec naszego światła... Dość nam będzie nasz program rozwinąć, aby takie kaganki pogasły...

JAN KALECIŃSKI.

Narodówka z samoobroną, żądającą obok wolności strejków, także wolności pracy.

HENRYK:

(lekceważąco)

Proszę. A to coś nowego!...

JAN KALECIŃSKI:

Organizacya ta wzrasta z godziny na godzinę, obawiam się, żeby nie przyszło do starcia na ostre...

HENRYK:

To pewna, że my nie ustąpimy... Ale dobrze, że pan mnie uprzedził... Trzeba tam zrobić wogóle porządek z prowodyrami i zmusić ich do wystąpienia z fabryki...

JAN KALECIŃSKI:

Tak i ja myślałem, że lepiej... aby ich nie było... bo to i o krew nie trudno...

HENRYK:

(składa portfel, bierze za palto, przewieszone przez poręcz krzesła i zaczyna je wdziawać)

Doskonale! Wybornie! Przedstawi się to zaraz jutro towarzyszom na posiedzeniu...

JAN KALECIŃSKI:

Ale bo właśnie, możeby lepiej, żeby pan sam...

HENRYK:

A, cóż znowu, uchwała jest za poważną, abym sam miał decydować...

JAN KALECIŃSKI:

Mnie zaś zdawało się, że ponieważ tu idzie głównie o kasyera Zbiświcza...

HENRYK:

(pomieszany)

O... Zbiświcza?...

JAN KALECIŃSKI:

Tak, on przewodzi, on organizuje, on wygłasza

mowy, zwołuje narady do kantoru, on walczy przeciwko nam... Gdyby nie on, nie byłoby ani słowa protestu. Cała agitacja od niego wychodzi. Ma przytem u nas mir... bo i dobre panisko... szkoda, że go tak opętało przeciwko nam...

HENRYK:

(j. w.)

Szkoda, wielka szkoda...

JAN KALECIŃSKI:

Żeby tak o kogo innego chodziło, tobym dziś jeszcze powiedział na zebraniu, bo lepiej, żeby go taczkami wywieźli, niż by go miało co gorszego spotkać... bo to i on gorączka a i naszym pasy nie brak... ale, że to pański blizki krewny...

HENRYK:

(dotknięty ostatnimi słowami, nerwowo)

Ach, zbyt uczynna dyskrecja, nie mam tajemnic przed towarzyszami... Zbiświcz jest moim... niezawodnie jest moim dość blizkim... krewnym... lecz cóż stąd?... Idziemy naprzód, targamy łańcuchy, dążymy do wyzwolenia pracy... idziemy na budowanie ale, chcąc budować musimy i miażdżyć... Owszem, towarzyszu, cenię wam dobrą intencję, nieomieszszkam przy sposobności przedłożyć sam Zbiświczowi... ale, po za tem, istnieje dla nas tylko jedna rodzina, praw której strzedz winniśmy, a imię jej proletaryat...

HENRYK CHWILECKI, JAN KALECIŃSKI I MARYA  
CHWILECKA.

(Marya wchodzi drzwiami z lewej. Marya ubrana z wyszukaną elegancją, w kapeluszu na głowie i strojnem okryciu)

MARYA:

(wchodząc)

Ach, dobrze, że cię jeszcze zastaję... Lecz może przeszkadzam?!

HENRYK:

(zwraca się żywo do nadchodzącej)

Ależ bynajmniej, moje serce... Pozwól sobie przedstawić... towarzyszu Kaleciński... moja żona...

(Kaleciński wyciąga ciężką rękę do uścisku, Marya z grymasem podaje mu dwa palce)

MARYA:

(z grymasem)

Pan towarzysz z komitetu...

HENRYK:

(zagadując)

Jeden z najtęższych naszych działaczy...

(do Kalecińskiego)

Więc sprawa załatwiona... Ja od siebie, ale co zresztą nie ma wyjątków... Niech pan podąży do rewiru... ja niebawem za panem przybędę, do zobaczenia się...

(Kaleciński wychodzi, uściskawszy rękę Henryka i skłoniwszy się niedbale Maryi. Marya podczas ostatnich słów Henryka zdejmuje okrycie, kapelusz i ściąga powoli rękawiczki).

## MARYA I HENRYK.

HENRYK:

Jestem na twe rozkazy, droga moja... ale, niestety, na króciutko... czekają na mnie a muszę być jeszcze w redakcyi... lada chwila zaczyna się batalia...

MARYA:

(obojętnie)

Więc robicie strejk?

HENRYK:

(z zapalem)

Bajeczny, nic podobnego nie bywało, coś wspańskiego, wszystkie fabryki żelazne zalegnie głusza cmentarna...

MARYA:

(j. w.)

No, to będzie conajmniej nudne...

HENRYK:

Jutro pochód i wielki mityng...

MARYA:

(j. w.)

A to świetnie, cieszę się z twych sukcesów...

HENRYK:

(z uczuciem)

Dobra, kochana moja, dla ciebie rad bym ich mieć najwięcej.

(całuje ją w rękę)



MARYA:

I cieszyłabym się nierównie więcej, gdybyś raz nareszcie uwolnił mnie od tych zebrań... Patrz, jaki tu porządek...

(zaczyna usuwać krzesła)

Na takie posiedzenia powinniście mieć własny lokal, bo doprawdy cały ten twój śmietnik... zaczyna być nieznośnym... Wczoraj już frontowymi schodami...

HENRYK:

(z łagodnym napomnieniem)

Oj, ty, ty moja arystokratko... przecież to najdzielniejsi ludzie...

MARYA:

Nie ujmuję im żadnego z przymiotów... wolę jednak pozostać w sferze w jakiej mnie wychowano... a twoich dzielnych admirować zdaleka... Mówiłam ci już nie raz...

HENRYK:

(zasmucony)

Widzisz, Maniu, tymczasem inaczej nie mogę... Przeciwnie, te zebrania u mnie stawiają mnie dobrze w oczach wyborców, no i nie czyni mi to różnicy, ile, że odpowiada moim poglądom...

MARYA:

Lecz może raz zdobyłbyś się na uszanowanie moich?...

HENRYK:

Ależ, wszak to taki drobiazg...

MARYA:

Życie ludzkie składa się tylko z samych drobiazgów.

HENRYK:

Nie chmurz się, uczynię, co w mej mocy... A przecież sama doradzałaś mi, abym kandydował do izby.

(śmiejąc się)

i to na Bebla odrazu...

MARYA:

Nie miałam wyobrażenia, iż tem samem skażę się na nieustanną procesję rozmaitych nieokrzesañców... Podziwiam cię, jak możesz z nimi wytrzymać...

HENRYK:

Bo nie ważysz tego, że to praca podniosła, szczytna... Przewodzić tłumom, wieść je, to panować oceanowi...

MARYA:

Więc, myślisz, że twoja kandydatura się utrzyma?

HENRYK:

(skromnie)

Nasze stronnictwo nie ma dotąd innego kandydata...

MARYA:

(rozsuwa firankę, osłaniającą wejście do salonu i podpina ją starannie)

Daj Boże...

HENRYK:

Zobaczysz, mój ty, niewierny Tomaszu... a teraz, pozwól się ucałować, czas na mnie największy...

MARYA:

Jeszcze słowo, czy pamiętasz, że pojutrze mamy wesele Blumberga za portyery?

HENRYK:

Tam do licha, dwieście rubli?...

MARYA:

Czteryście...

HENRYK:

Prawda. Na śmierć zapomniałem... Co tu robić?...

MARYA:

Weź z redakcji...

HENRYK:

Nie mamy, moje dziecko, grosza nie mamy...

MARYA:

(zniecierpliwiona)

Przecież „Rozświt“ idzie świetnie.

HENRYK:

(z przekonaniem)

Znakomicie, kolosalnie... ale wydatki, papier, zecernia...

MARYA:

Więc komitet powinien by cię wspomóc? Wszak spodziewaliście się pieniędzy od centralnego związku niemieckiego...

HENRYK:

No tak, lecz to na strejk... i przytem nie wypada... Czekaaj, a może by ojciec mógł założyć...

MARYA:

(rozdrażniona)

Ojciec... Niezapominaj, że, gdyś powrócił z wygnania, ojciec oddał ci na ten twój „Rozświt“ cały posag Elki... no i że jest już niedołącznym i z praktyki nie ma nic... Żyje z pensyjki fabrycznej.

HENRYK:

(zakłopotany)

Ależ, Maryniu, masz słuszność... sam nie wiem, skąd mi to przyszło...

MARYA:

A tymczasem masz prosty punkt wyjścia... idź do wuja Zbiświcza...

HENRYK:

Do Zbiświcza?... Ach, bo, uważasz, wuj wdał się w jakąś agitację narodową między robotnikami... idzie przeciwko nam.

MARYA:

Lecz może wyratować z kłopotu...

HENRYK:

Pozwól, jakoś trzeba będzie, zobaczę... No dowiedzenia, nie uwierzysz jak mi przykro, że nie mogę od razu uwolnić cię od tych mizernych utrapień...

(całuje ją w rękę i bierze za kapelusze)

MARYA:

Ale, wiesz, pisał do mnie Julek Lacki... ma do nas, a szczególnie do Ciebie, żal, że przyjmujemy Stefkę... po tem, co między nimi zaszło...

HENRYK:

Uch, znasz moje poglądy. Trudno, równouprawienie nie ma względów. Powzięła uczucie dla innego, czy jak wolisz, zdradziła go, rozeszli się i koniec. Julkowi może się to podobać lub niepodość... lecz mnie takie zacofanie nie obowiązuje.

MARYA:

(z intencją)

Nie zdaje mi się, żeby ci przyszło równie łatwo rezonować, gdyby szło o ciebie?...

HENRYK:

(dobrodusznie)

Mylisz się, drogie dziecko, kocham cię z całego serca, kocham nad życie, ale równocześnie szanuję w tobie równego mi prawami człowieka...

(słysząc dzwonek za sceną)

Pewnie jakiś interesant...

(patrzy na zegarek)

Już jestem spóźniony... Bądź dobrej myśli... Dziś rozstrzygająca bitwa...

(idzie ku drzwiom na prawo, przestępuje próg i odwraca się)

Wpadnę za godzinę po proklamacye... Niech je Elka rozdzieli...

(Marya spogląda za odchodzącym i wzrusza ramionami)

MARYA, KATARZYNA I ŁABUDZIŃSKA.

KATARZYNA:

(wchodzi z salonu)

Proszę pani... pani Wystrzelisz:

MARYA:

(niechętnie)

Powiedziałaś, że pana niema...

KATARZYNA:

Powiedziałam, lecz koniecznie chce z panią...

MARYA:

(j. w.)

A cóż, prosz...

(Katarzyna zwraca ku drzwiom)

Zabierz okrycie i kapelusz do pracowni...

A jak kto do pana, to nie wpuszczaj.

KATARZYNA:

Uważam.

(Katarzyna wychodzi przez salon (z rzeczami) i znika za lewą kulisą. Po małej pauzie, wchodzi Strzelisz Łabudzińska)

UWAGA. Strzelisz Łabudzińska, osoba około 40 lat, przesadzona w ruchach, chodzi wielkimi krokami, wita się po mężku, potrząsając energicznie podaną sobie ręką, wielka wyładowana teka pod pachą)

ŁABUDZIŃSKA:

Witam, drogą panię. Jakaż szkoda, że nie zastałam jej małżonka...

MARYA:

Wyszedł przed chwilą, lecz może będę mogła być pośredniczką?

(podsuwa krzesło)

Niech pani raczy...

ŁABUDZIŃSKA:

Sprawa niezmierniej wagi: idzie o wiec wyzwolonych kobiet, któremu będę przewodniczyła... Obawiamy się, aby agitacja wsteczników nie pokrzyżowała nam planów i nie wpłynęła na zbyt słaby udział mężczyzn...

MARYA:

Wszak skoro idzie o wiec kobiet?

ŁABUDZIŃSKA:

Więc bez mężczyzn nie może się obejść... Pani wydaje się to zabawnem a przecież trzeba, żeby oni wysłuchali stawianych im zarzutów... Stąd komitet wydelegował mnie, abym uprosiła jej małżonka, by wiec poparł swoim wpływem a nadto zechciał należeć do biura prezydyalnego...

MARYA:

Nieomieszkam...

ŁABUDZIŃSKA:

(wyciąga z teki rękopis)

I, żeby był łaskaw... zamieścić w „Rozświcie“ nasz komunikat...

MARYA:

(odbiera rękopis)

Przedłożę mu...

ŁABUDZIŃSKA:

Oraz, żeby był łaskaw pamiętać o walnem zebraniu związku koedukacyjnego, w którym prezyduję. (Marya pochyla się na znak zgody, Łabudzińska sięga do teki) Dalej, tu służę akcyami kursów społecznego uświadamiania panien... a tu jest moja nastrojowa nowela, o której mówiłam redaktorowi... a tu artykuł z zakresu higieny mieszkań...

MARYA:

(odbierając papiery)

Podziwiam pani niepożytą energię.

ŁABUDZIŃSKA:

Ach, droga pani, i pomyśleć, że przez tyle lat musiałam ją dławić w sobie, skazywać na bezczynność, ulegać obskurantyzmowi!

MARYA:

Wszak pani prezyduje już w trzech stowarzyszeniach?

ŁABUDZIŃSKA:

W sześciu, droga pani, a wiceprezyduję w czterech... Co robić, trzeba walczyć o nasze prawa, nie każda jest w tem wyjątkowem położeniu, aby miała przy swym boku takiego męża, jak pan Chwilecki... Nie przecz pani. Pani jesteś jak ten bogacz, który, opły-

wając w dostatkach, nie rozumie uczucia nędzy... Pani masz do czynienia z człowiekiem, któremu obcym jest samczy despotyzm przeciętnego mężczyzny, człowieka, który pojmuje kobietę, ma ją sobie za równą, nie upatruje w niej bawidełka, nie chce mieć z niej kochanki, gospodyni, kucharki, niewolnicy czy mamki swoich dzieci, lecz ma ją za obywatelkę, za towarzyszkę, za wolnego, niezależnego człowieka... Taki mąż to skarb... Tak, tak, droga pani, a dalej, działalność pana Chwileckiego... dalej, urok wygnania, więc laur męczeństwa... Toć całe miasto o nim mówi... A ten strejk, który przygotowuje...

MARYA:  
(obojętnie)

Niezawodnie.

ŁABUDZIŃSKA:

A przytem, jakież to duch potężny, jakaż wzniosłość, jaki polot myśli, jakaż rzutność ideowa!... Ale, pani pozwoli zapisać się na członka do naszego uświadomienia społecznego...?

MARYA:  
Pani wybaczy, lecz jako malarka... tak mało mam powołania.

ŁABUDZIŃSKA:  
(szuka szybko w portfelu)

Więc mam coś dla pani... zapiszę panią na atenejskie wieczory feministek...

MARYA:

Ach, wszak tam pani Stefania Lacka zajmuje jakiś urząd?

ŁABUDZIŃSKA:

(surowo)

Właściwie zajmowała go dotąd... gdyż obecnie, z uwagi na okoliczności, które towarzyszyły jej rozejściu się z mężem, nie możemy zgodzić się...

MARYA:

Nierozumię, przecież chyba taki ostracyzm w dzisiejszych czasach...

ŁABUDZIŃSKA:

(kończy)

Jest przeżytkiem, droga pani, dziwactwem... lecz, co do pani Lackiej, musiałyśmy zrobić wyjątek...

(słychać dzwonek)

bo się skomprrrromittowała...

(wchodzi Katarzyna i melduje)

KATARZYNA:

Pan Alfred Winter, proszę pani.

MARYA:

(poruszona)

Proś, Katarzyno, proś...

(Katarzyna wychodzi)

ŁABUDZIŃSKA:

Pan Alfred Winter?... Czy to może syn fabrykanta??...

MARYA:  
(wymijająco)

Ten sam...

ŁABUDZIŃSKA:

To bardzo szczęśliwie się składa, właśnie miałam być u niego w delegacji... wiele dobrego o nim słyszałam... Pani nie odmówi mi tej grzeczności i pozwoli mi skorzystać z okazji?...

(W głębi salonu ukazuje się Alfred Winter).

MARYA:  
(ociężale)

Proszę, niech pani będzie łaskawą...

SCENA VI.

MARYA, ALFRED WINTER, ŁABUDZIŃSKA.

ALFRED:

Moje uszanowanie pani...  
(całuje Maryę w rękę).

MARYA:  
(z intencją)

Bardzo dawno nie miałam zaszczytu... pan pozwoli, że go przedstawię... Pan Alfred Winter... pani Strze-  
lisz Łabudzińska... nasza niezmordowana działaczka.

(Alfred kłania się, Łabudzińska wyciąga zamaszycie rękę).

ALFRED:  
(do Łabudzińskiej)

Miałem sposobność tyle słyszeć o pani...

ŁABUDZIŃSKA:

Ja o nim nierównie więcej...

ALFRED:

Pani...

ŁABUDZIŃSKA:

Panie...

MARYA:

(podsuwając krzesła)

Państwo będą łaskawi...

ŁABUDZIŃSKA:

(zajmuje pośpiesznie miejsce i zaprasza ruchem na sąsiednie krzesło Alfreda)

Nie uwierzy, pan baron, jak bardzo jestem rada spotkaniu go... Właśnie, miałam być dziś u niego...

ALFRED:

Ach, doprawdy, nie wiem czem sobie zasłużyłem...

ŁABUDZIŃSKA:

(przysuwa się do Alfreda i szuka omackiem w swym portfelu).

Wielkie zalety jego serca ośmieliły mnie do spo-  
dziewania, że, panie baronie, nie uchylisz się od  
wspomożenia naszej młodej instytucji...

ALFRED:

(podczas ostatnich słów Łabudzińskiej wyciąga z kieszeni ksią-  
żeczkę czekową, ołówek i zaczyna pisać flegmatycznie)

Ile pani rozkaże?...

ŁABUDZIŃSKA:

(rozgorączkowana)

Na... na koedu... koedukację, panie barrronie...  
jako dożywotni...

ALFRED:

(pisze szybko)

Sto rubli...

(wydziera czek i podaje).

ŁABUDZIŃSKA:

(wyciąga pośpiesznie kwitaryusz, kreśli coś na nim i podaje  
Alfredowi)

Nadewszystko... kwit, panie baronie...

ALFRED:

Ach, zbytne...

ŁABUDZIŃSKA:

A, taki u nas rygor, nic bez kwitu!...

(uroczyście)

Teraz, panie  
baronie, w imieniu całego zrzeczenia, pozwól sobie...  
(Alfred kłania się, Łabudzińska ściska go energicznie za rękę)  
podziękować i polecić twej dobroci związek wy-  
zwolonych kobiet...

ALFRED:

(wyciąga książeczkę czekową i powtarza automatycznie też  
same ruchy)

Sto... ru...bli...

ŁABUDZIŃSKA:

O, panie barrronie... słów mi brak...

(szuka w portfelu)

kwit!... A...

nie... nie... nic bez kwwwitttu!... Służę panu barro-  
nowi...

(zadyszana)

Pozostaje mi już tylko prosić, aby, w uzna-  
niu jego obywatelskich zasług... wolno mi było  
postawić kandydaturę pana barona... na członka  
honorrrowego „Uświadamiania społecznego pa-  
nien“...

ALFRED:

(j. w. wyciąga książeczkę czekową itd.)

No — jeżeli tylko na członka honorowego... sto  
ru...bli...

ŁABUDZIŃSKA:

(zadyszana)

Kwit, panie baronie... kwit.... Panie baronie, ta  
wielka...

ALFRED:

(przerywając)

Pani pozwoli, jedno słowo...

(patrzy na zegarek)

Za godzinę ma się  
rozpocząć strejk... czyli, że, jeżeli Pani natychmiast  
nie uda się do kasy mego ojca... kasjera może  
pani nie zastać...

ŁABUDZIŃSKA:

(zaniepokojona)

Czy być może!... Więc i kasjer śmiały!... Takiego  
strejku doprawdy nie rozumiem...

(zaczyna składać szybko portfel i w rozrządzeniu zgarnia wy-  
dane przez siebie kwity, które Alfred pozostawiał na stoliku).

ALFRED:  
Niestety, zapewniam panią, że nie ma czasu do stracenia...

ŁABUDZIŃSKA:  
(wstaje, żegna się)  
W takim razie, państwo darują, lecz, dla dobra społecznego... muszę opuścić... Droga pani... obowiązana nieskończenie... Panie baronie, jestem pewna, że koedukacja jednomyślnie powoła pana na prezesa...

(Marya odprowadza Łabudzińską)  
Panu redaktorowi słowa najwyższej przyjaźni...  
(Łabudzińska wychodzi z Maryą, słychać przez chwilę odgłos prowadzonej rozmowy. Alfred przechadza się. Marya wraca).

SCENA VII.

MARYA i ALFRED.

ALFRED:  
(śmiejąc się)  
Zajmująca osoba...

MARYA:  
Podziwiałam pańską hojność...

ALFRED:  
Cóż znowu, za bezcen uwolniłem się od niepotrzebnego świadka...

MARYA:  
(zalotnie)  
Więc nie rad był pan dzisiaj świadkom?...

ALFRED:  
Nie rad... bo mam rendez-vous w klubie...

MARYA:  
Odpowiedź szczerą... Ale może przejdziemy do salonu...

ALFRED:  
A, przecież tu nam doskonale... zresztą i tak za chwilę muszę już...  
(Marya zaprasza ruchem ręki do zajęcia miejsca przy stoliku na prawo, sama sadowi się na kanapce).

MARYA:  
Och, nie śmiałybym zatrzymywać... dziwię się nawet, że pan raczył sobie przypomnieć...

ALFRED:  
Byłem w Biarritz, wróciłem przed dwoma dniami... A, gdzież panna Ela?... Mówił mi doktor, że mieszka u państwa...

MARYA:  
(zimno)  
Jest na lekcji...

ALFRED:  
Jaka szkoda... I co jej po tem modnem społecznikostwie?

MARYA:  
(rozdrażniona)  
Nie każdy ma na zawołanie książeczkę czekową...

ALFRED:  
Niezawodnie... ale przecież osoba tak młoda...



MARYA:

(nerwowo)

Nie czuje się z tego powodu nieszczęśliwą... Zresztą, wie pan aż nadto dobrze, że zarówno stan majątkowy ojca, jak i nasz... nie należy do świetnych...

ALFRED:

Prawda, lecz małżonek pani ma przed sobą przyszłość... Czytuję z prawdziwą satysfakcją te jego piorunujące artykuły, a choć wcale nie mam zamiaru nawrócić się na doktrynerstwo Marksa... przyznam się pani szczerze, że, gdybym urodził się nie jako syn Wintera, lecz jako syn inżyniera fabryki Winter i spółka, no i gdybym tak, jak jej małżonek, odbył studia heidelberskie, zurychskie i sachalińskie... no, to chciałbym być panem Chwileckim...

MARYA:

Wolisz pan atoli nim nie być...

ALFRED:

No oczywiście...

MARYA:

(ironicznie)

W imieniu mego małżonka składam podziękowanie...

ALFRED:

Pani ironizuje a ja doprawdy... mówię otwarcie... Nie dalej, jak dziś, miałem z tego powodu żywą utarczkę z ojcem, który chciał uczynić zarzut panu

Chwileckiemu o ten strejk... Poczciwy stary wytoczył cały arsenał zacnych nonsensów, lecz, w ostateku, dał się przekonać, że sam, na miejscu pani męża, odrzucił by względy osobiste...

MARYA:

Nie mieszam się do spraw mojego

(z naciskiem)

małżonka, mogę jednak pana zapewnić, że w stosunku do ojca pańskiego...

ALFRED:

Jest na zupełnie właściwym stanowisku. Stanął na czele ruchu, wyjątków robić nie ma prawa...

MARYA:

Nie przypuszczałam, że Henryk może w panu znaleźć tak żarliwego obrońcę...

ALFRED:

Poczucie sprawiedliwości...

MARYA;

Zdobycz nie z pierwszego pobytu w Biarritz...

ALFRED:

Ma pani słuszność... czuję się winnym...

MARYA:

(śmiejąc się nerwowo)

Aż tak!...

ALFRED:

(poważnie)

Pani Maryo, poważę się przypomnieć własne jej słowa... nawołujące do rozwagi... Dziś warunki się zmieniły... pan Henryk... po czterech latach przy-musowej rozłąki, znów stanął u jej boku... A ja doprawdy... szczęśliwy jestem, że mogę mu śmiało spojrzeć w oczy...

MARYA:

Henrykowi!

ALFRED:

(spokojnie)

No i pani!

MARYA:

(podnosi się nerwowo)

I to mi pan przyszedł powiedzieć?

ALFRED:

(wstaje, mówi łagodnie)

Nie tylko to... właściwie o tem wogóle nie miałem zamiaru... lecz pani zdenerwowanie czyni bardzo trudnem... wypowiedzenie... istotnego celu mego przybycia.

MARYA:

(chłodno)

Żle pan tłumaczy sobie moje zachowanie... Przeciwnie, radabym słyszeć pana mówiącego

(dumnie)

bez alluzyj do tego, czego nie było...

ALFRED:

(żywo)

Poddaję się bez wahania... rozkazowi.

(Marya siada na miejscu poprzednim Alfreda, ten zaś zajmuje krzesło obok)

ALFRED:

Przybywam wprost od ojca pani... i po uprzednim porozumieniu się z moim... Widzi pani, jak skrupulatnie sobie począłem... Domyśla się pani, w jakim celu... Oświadczyłem się o rękę panny Eli...

(panza, Marya prostuje się z wysiłkiem)

Oddawna już żywiłem dla niej żywą sympatyę... ta powoli przeistoczyła się w przekonanie, że mógłbym być z nią szczęśliwym...

MARYA:

(głucho)

Z Elką.

ALFRED:

Tak... Całemu temu postanowieniu brak dotąd... zgody... panny Eli, mniemam wszakże, iż zdołam ją uzyskać... a to sądząc z oznak pewnej uprzejmości, okazywanej mi niejednokrotnie... no i tem szybciej... o ile pani nie odmówi mi swego współdziałania...

MARYA:

(mówi głucho, urywanie, nie patrząc na Alfreda)

Mego współdziałania... Pan kocha...

ALFRED:

No, mówiąc językiem zwyczajowym, to tak... to jest, czuję, że przyjaźń moja dla panny Eli wlecze mnie wprost ku głęszemu sentymentowi... Nadto, widzę w niej tyle wdzięku, prostoty serca, tyle pogody, że obawiam się, czy moje stanowisko zdolnym będzie zrównoważyć moje dane...

MARYA:

(ledwie poruszając wargami)

Pan Elki nie zna... jest zapaloną socyjalistką...

ALFRED:

(rażno)

A cóż to szkodzi... Będziemy z podwójnym zapalem czytywali „Rozświt“... postawimy pomnik...

(Marya drży)

Pani Maryo, co pani?... pani drży?...

SCENA VIII.

MARYA, ALFRED I ELKA.

(Elka wpada przez drzwi z lewej strony)

UWAGA. Elka w czarnym żakieciku, małym, okrągłym kapeluszu, włosy rozwichrzone na skroniach, paka książek pod pachą.

ELKA:

Co, już po zebraniu?...

(sposstrzega Alfreda, przystaje)

A pan Winter... Dzień dobry, siostruniu...

(całuje Maryę, ta ledwie jej odpowiada na pocałunek)

MARYA:

Dzień dobry...

ALFRED:

(wita się z ożywieniem)

Dawno nie miałem szczęścia...

ELKA:

I ja także...

(Alfred chce coś odrzec, lecz Elka zwraca się pośpiesznie do Maryi)

Więc już po zebraniu?...

MARYA:

Nierozumiem cię...

ELKA:

Więc Henia nie ma?...

MARYA:

Wyszedł już przed godziną...

ELKA;

A to okropne! Wyobraź sobie, Henio pozwolił mi być dziś w saloniku, za portyera, podczas decydujących obrad... a tu, jak na złość, wali mi się zarząd „Analfabetyzmu“ na inspekcję do klasy... zaczęli marudzić, wywodzić o nowej metodzie pogładowej, no i, masz, spóźniłam się... A taka byłam ciekawa... głównie mowy ostatniej Henia... Musiała być bajkowa!... Co?

MARYA:

Nie wiem...

ALFRED:  
Więc pani trwa na zabój w socjalizmie?

ELKA:  
(zdejmuje kapelusz)  
Co robić, skoro się nie ma powołania na burżukę...

ALFRED:  
(zbliża się do Elki)  
I uczy pani analfabetów...?

ELKA:  
Mam stu...

ALFRED:  
Gotów jestem zapomnieć czytać, byle zostać sto  
pierwszym... uczniem...

ELKA:  
Rotszylda...

ALFRED:  
Nie imponuje mi...

ELKA:  
Woli pan Wanderbildta?

ALFRED:  
Także mi nie imponuje...

ELKA:  
I ten nawet, ależ musiał pan zebrać kolosalne ka-  
pitały!!... a wie pan, że w dzisiejszych czasach,

niebezpiecznie się z tem zdradzać... partya może  
pana zabójczo opodatkować...

ALFRED:  
Poddam się jej wyrokowi bez szemrania, pod wa-  
runkiem, że wyznaczy panią na egzekutorkę...

ELKA:  
(zdziwiona tonem głosu Alfreda)  
A!...

KATARZYNA:  
(wchodzi drzwiami z lewej)  
Proszę pani, człowiek z drukarni przyniósł dwie  
paczki deklamacyj... gdzie toto złożyć?...

MARYA:  
(która podczas ostatniego dialogu Elki z Alfredem objawiała  
grą mimiczną rozdrażnienie)  
Niech złożą tu!...  
(Katarzyna wychodzi).  
Elko, Henio prosił, żebyś się  
zajęła zaraz temi proklamacyami...

ELKA:  
(ożywiona)  
Wiem, wiem... proklamacye zwycięstwa!... Zabie-  
ram się natychmiast...

ALFRED:  
Może będę mógł być pomocnym?...

ELKA:  
Niepodobna, pan należy do zwyciężonych...

MARYA:

(siłąc się na spokój)

Panie Alfredzie, przejdźmy do mego atelier... Chciałam się pana poradzić... mam pejzaż, wykonany według znanego panu szkicu, w Biarritz...

ALFRED:

Służę pani...

(Marya idzie ku salonowi i stąd na lewo za kulisę, Alfred ociężale podąża za nią, kłania się na odchodnym Eli)

Kapitał kłania się pracy...

ELKA:

(odpowiadając na ukłon)

Uprzejmość przedstrekowa...

ALFRED:

Nie, — odrazu skłonność do układów!

(Alfred wychodzi. Elka spogląda za nim przez chwilę z zastanowieniem).

#### SCENA IX.

ELKA i KATARZYNA.

(Katarzyna wchodzi drzwiami z lewej z wielką paczką druków).

KATARZYNA:

Rety, jakie to ciężkie!...

ELKA:

(idzie na przeciw Katarzyny i odbiera od niej paczki)

Niech Kasia da...

KATARZYNA:

Abo się panienska podźwignie...

ELKA:

Nic, poradzę...

(dźwiga paczkę na przód sceny i z wysiłkiem składa na podłodze, przy biurku)

Uf...

KATARZYNA:

Jeszcze ci taka druga... deklamacya...

ELKA:

Niech ją Kasia przyniesie także...

(Katarzyna wychodzi na lewo i wraca po chwili z drugą paczką, którą już sama składa przy biurku. Elka rozwija tymczasem pierwszą paczkę, wyciąga z niej arkusz proklamacyi i zaczyna czytać z przejęciem, na twarzy widać ukontentowanie. Czytanie trwa krótko. Elka zasiada gorączkowo przy biurku, zaczyna liczyć szybko arkusze proklamacyi i formować z nich oddzielne pakiety, zawijając je i czyniąc na nich nadpisy).

KATARZYNA:

(spoglądając domyślnie na Elkę)

To pewno ten człowiek ma zaczekać, aż panienska podzieli?...

ELKA:

Naturalnie...

KATARZYNA:

Powiada... że już ci obok, u Wintera, na fabryce... gwałt taki, że aby, aby...

ELKA:

Dobrze, dobrze... powiesz mi później... teraz nie przeszkadzaj...

(Katarzyna wzrusza ramionami i wychodzi).  
(Na scenie pauza, Elka zajęta proklamacyami).

ELKA:

(do siebie półgłosem, przerzucając partye proklamacyj)  
Pierwszy rewir, drugi, trzeci... czwarty... piąty... szósty...  
(słysząc dzwonek, Elka przestaje liczyć, spogląda ku salonowi i znów liczy).

GŁOS KATARZYNY:

(za sceną)

Niewiem, proszę pana, kiedy wróci... może dopiero wieczorem...

GŁOS ZBIŚWICZA:

(za sceną)

Więc będę czekał... Do pani?... Nie... nie trzeba, nie chcę jej przeszkadzać...

(Ten dyalog za sceną powinien wyjść tak zatuszowany, aby widz miał wrażenie dłuższej rozmowy, z której tylko parę słów pochwylił. Równocześnie Elka, na dźwięk głosu Zbiświcza — objawia nieukontentowanie i składa szybko proklamacye, jakby pragnąc je ukryć).

SCENA X.

ELKA i ZBIŚWICZ.

ZBIŚWICZ:

(wchodzi z poza kulisy lewej, przez salon)

Witam pannę Elżbietę...

UWAGA. Zbiświcz lat 65, utyka na jedną nogę, gęsta, siwa czupryna, zamaszyste wąsy.

ELKA:

Dzień dobry panu... Niech pan będzie łaskaw do saloniku... Zaraz uprzedzę Manię...

ZBIŚWICZ:

Nie trzeba... Tu sobie zaczekam...

(siada przy stoliku na prawo)

Przyszedłem w ważnej sprawie do Henryka...

ELKA:

(zakłopotana)

Ach, Henio dziś taki zajęty... tak bardzo zajęty...  
Może pan życzy sobie...

ZBIŚWICZ:

Proszę nie robić sobie subiektywi moją osobą...

(Zbiświcz sięga po leżącą na biurku książkę i zaczyna ją przewracać machinalnie, Elka wraca do biurka. Zbiświcz, po chwili próbuje czytać... wyciąga binokle, przeciera, rzuca okiem na kartę tytułową i z odrazą odrzuca książkę na stół, poczem wstaje, przesiada się na kanapkę na przód sceny, wyjmując z kieszeni gazetę i przebiega ją nerwowo. Elka tymczasem zabrała paczkę posegregowanych paczek z proklamacyami, odniosła za scenę, powróciła i kończy robotę).

SCENA XI.

ELKA, ZBIŚWICZ i HENRYK.

HENRYK:

(wpada rozgorączkowany drzwiami z prawej)

Są proklamacye?... Wybornie!... Natychmiast... na miasto...

(staje przed biurkiem, nie widząc Zbiświcza. Elka poruszona, Zbiświcz podnosi się i prostuje powoli)

ELKA:

Ależ, Heniu...

HENRYK:

(nie daje jej przyjść do słowa)

Zwycięstwo... zwycięstwo na całej linii... jeden Winter się opiera... lecz już lada sekunda ulegnie!...

ZBIŚWICZ:

Tak ci się zdaje...

HENRYK:

A wuj...

(zwraca się do niego, chce go pocałować w ramię, Zbiświcz usuwa się i poprzestaje na krótkim uściśnieniu ręki Henryka)  
Jakże zdrowie, wybierałem się właśnie do wuja...

ZBIŚWICZ:

Cha, cha a to wybornie się składa... bo mnie tu już tak nastraszyli, że ledwie nie zwątpilem, czy będę mógł się z tobą widzieć...

HENRYK:

(zafrasowany)

Bo, rzeczywiście, proszę wuja... dzisiaj wyjątkowo jestem tak bardzo zajęty... że...

ZBIŚWICZ:

Organizowaniem strejków... a ja właśnie w sprawie strejku...

HENRYK:

(pospiesznie)

Wiem, wiem, drogi wuju... idzie pewno o Wintera...

ZBIŚWICZ:

(surowo)

Mylisz się... idzie tu nadewszystko o byt kilkuset rodzin a potem idzie także o ciebie... no i o mnie nareszcie...

HENRYK:

(roztargniony)

Prawdziwie, proszę wuja... Niech wuj będzie łaskaw... siadać... Różnica poglądów...

(Elka wychodzi na lewo z pozostałymi proklamacyami)

SCENA XII.

HENRYK i ZBIŚWICZ w ostatku ELKA.

ZBIŚWICZ:

Nie przyszedłem tu na zwalczanie twych przekonań... ani na prowadzenie dysputy o tem, co dla ciebie stało się obcem, śmiesznym, płytkim... Prze-

ciwnie... pragnę wmówić w siebie, żem stępał ze starości... że przeżyłem się... żem spróchniał razem z temi zawołaniami... które, za moich młodych lat... były nam gwiazdą przewodnią... Pragnę, Henryku, wierzyć, iż ty, stając na czele ruchu robotniczego, czynisz to z przeświadczeniem, że twoja droga jest najlepszą... Lecz, powiedz, jakiż cel widzisz w tem masowem porzucaniu pracy, w rozbudzaniu niezdrowej chęci posiadania, w zaszczepianiu nienawiści, w niecenieniu walki klasowej...

HENRYK:

(łagodnie)

Drogi wuju, to są pozory, to są tylko te pierwsze skurcze, zawsze bolesne... ilekroć razy idzie o przewrót społeczny... Idziemy naprzód, natrafiamy na opór warstw uprzywilejowanych... dla których wyzwoleńce pracy z niewoli kapitału...

ZBIŚWICZ:

Nie mówmy o tem... nie zrozumieję cię... i tak... Nie znam się zresztą na twych teoriach... ani na zagadnieniach pracy. Ale za to znam się na sprawie robotniczej u Wintera... Otóż, powiedziano mi, że ty głównie kierujesz tym nowym strejkem...

HENRYK:

Lecz nie specjalnie z powodu Wintera...

ZBIŚWICZ:

A mnie przeciwnie specjalnie o Wintera chodzi...

HENRYK:

Wzuppełności pojmuję...

ZBIŚWICZ:

(porywczo)

Nie pojmujesz wcale, bo, gdybyś pojmował, to do podobnego kroku byś nie dopuścił... Fabryka trzyma się tylko dzięki ofiarności starego Wintera... ostatni strejk poderwał ją doszczętnie... Stary Winter zresztą tej fabryki niepotrzebuje, ma i tak dosyć... syn namawia go do zamknięcia oddawna... Nowy strejk może go skłonić do likwidacji... a więc kilkaset rodzin... rzuci na bruk...

HENRYK:

Daję słowo wujowi, że nie jestem w stanie...

ZBIŚWICZ:

No, przecież mówisz, że dbasz o los proletaryatu... a więc chyba nie wolno ci zamykać oczu na to, iż nie masz u nas fabryki, gdzieby tak, jak u nas, dbano o pracujących... no i chyba w takiej chwili powinienbyś wspomnąć, że i sam zawdzięczasz Winterowi całe wykształcenie...

HENRYK:

Wujowi chyba...

ZBIŚWICZ:

Ale o tyle mnie, że Winter wziął mnie niedołęznego, po powrocie z Nerczyńska, i dał chleb.



HENRYK:

Na czym znakomicie wyszedł, bo posiadał oddanego sobie...

ZBIŚWICZ:

Lecz i płacił za ciebie wpisy i zagraniczne uniwersytety, a gdyś wpadł w tę nieszczęsną matnię nihilistyczną, czy jak tam, ratował cię wszystkimi wpływami... no i dobył z Sachalinu!...

HENRYK:

Ależ, ależ, proszę wuja, osobiście mam dla Wintera...

ZBIŚWICZ:

(przerywa)

Idzie ci o robotników?... Więc, co masz mu do zarzucenia?... Podwyższył im wynagrodzenie, skrócił dzień pracy, dał im szkołę, szpital, płaci ubezpieczenie od wypadków, niedołączym daje emeryturę... buduje mieszkania,... obchodzi się godnie, grosza sam nie ma z tego... Więc cóż jeszcze..?

HENRYK:

Wuju, przecież tu nie ma mowy o Winterze!...

ZBIŚWICZ:

Skąd więc ta agitacja... ci burzyciele?!...

HENRYK:

Niech wuj pozwoli!... Nie tylko ja ale ogół nasz oddaje sprawiedliwość Winterowi... Tylko rzecz w tem, że my nie możemy zgodzić się, aby praca

ależała od dobrej lub złej woli panów Winterów... My nie chcemy mieć jakichś zacnych lub niezacnych... My dążymy do tego samego, do czego parł niegdy ruch walczący z poddaństwem... My nie potrzebujemy żadnych cnotliwych panów, którzy by się z nami dobrze obchodzili a, w przystępie wspaniałomyślności; obdarzali nas wolnością, my żądamy praw... I jest nam obojętnym, kto im się podda dobrowolnie, a kto pod przymusem. Niech wuj pozwoli... Winter uczynił, w stosunku do innych fabrykantów, wiele, ale nie tyle, ile od niego żądamy dziś... a to, co dziś by uczynił... nie starczy już na jutro... boć sprawa robotnicza jest tylko... gromadzeniem sił na dokonanie...

ZBIŚWICZ:

(wstaje)

Krótko mówiąc, za nic sobie masz moje przedstawienia...

(ze wzrastającym wzburzeniem)

za nic dołę rodzin, za nic obowiązki wdzięczności, za nic to, że i ty sam, i ja, i ojciec twojej żony latami żywiliśmy się chlebem Winterów, idziesz... depcesz, burzysz... wypierasz się gniazda, z któregoś się począł, upijasz się wykrzyknikami o jakiejś szlachcie, choć wiesz, żeś sam miał w rodzie takiego już, którego podpis targowicki ledwie krew dwóch dziadów... zatrzeć zdołała...

HENRYK:

(dotknięty)

Ależ, wuju!...

ZBIŚWICZ:

(gwałtownie)

Lecz to wiedz, że ja stoję na straży u Wintera, że nie dam ci tej gromady robotniczej, że bodaj siłą odeprę wszystkie twoje zamachy, że każdego agitatora twojego kijami przepędzę...

HENRYK:

Wuju, niechże wuj tego nie czyni, zaklinam... wuj nie wie, jakie stąd niebezpieczeństwo...

ZBIŚWICZ:

Ty mnie chcesz przestraszyć?... cha, cha, mój kawalerze, mnie, za młodu, nauczono samemu iść na karabiny a nie wysyłać innych! Łudziłem się, przed chwilą, że zdołam uzyskać od ciebie to jedno ustępstwo!... A więc trudno!... będziesz miał walkę od dziś, walkę ze mną!... Zobaczymy!... Ruszyć nie dam Wintera... rozumiesz?!...!

(słychać przeciągły gwizd syreny fabrycznej)

ZBIŚWICZ:

(zaniepokojony)

Boże, co to jest?! co to... jest?... to Winter!... to... nasza...

(stopniując wzruszenie)

fabryka!! to niepodobna! Henryku... na Boga!!...

ELKA:

(wbiega z wybuchem radości i rzuca się ku Henrykowi)

Heniu... zwycięstwo... zwycięstwo!... Winter!... Winter zastrejkował!!

(Zbiświcz osuwa się bezwładnie na kanapkę. Henryk poruszony ściska Elkę, która tuli się do niego)

ELKA:

Zwycięstwo... Henryku!... Zwycięstwo!!...

(za sceną słychać przyciszony, oddalający się śpiew chóru robotniczego)

CHÓR:

Porządek stary już się wali,  
Już ginie stary, podły świat...  
My nowe życie stworzym sami  
I nowy zaprowadzimy ład!...

(wraz z ostatnim wierszem strofki)

KURTYNA ZAPADA.

AKT DRUGI

Scena przedstawia fumoir w domu Stanisława Wintera. Drzwi na lewo i prawo. W poprzecznej kulisie, po prawej stronie, ścięte okno, z poza którego widać zabudowania i kominy fabryczne, w tejże samej kulisie, bliżej prawej strony, wgłębienie, stanowiące zakończenie, zachodzącego za scenę, przedpokoju.

Meble w fumoirze dywanowe lub tureckie, na środku kwadratowy, dębowy stół, nakryty kolorową serwetą; w dowolnem miejscu dwie szafy oszklone z książkami, obrazy na ścianach, portyery i firanki, stoliki małe przed kanapkami na przodzie sceny, na prawo i lewo. Z przedpokoju widać wieszadła.

STANISŁAW WINTER i REMLER.

Za podniesieniem zasłony Stanisław Winter siedzi po lewej stronie sceny, przy stoliku, na fotelu, i wpatruje się w trzymany w rękę papier. Remler w drugim fotelu, bokiem do stolika, twarzą do widzów.

UWAGA: Stanisław Winter lat 60, łysy, włosy na skroniach szpakowate, wąsy siwe, krótko strzyżone. Remler lat 45, otyły, broda strzyżona, binokle, mówi szybko, gestykuluje.

ST. WINTER:

Tak, tak, masz pan słuszność, warunki ich są niemożliwe, koszty produkcji skoczyły by na sto procent... a tu, wobec zagranicznej konkurencji, ani marzyć o podwyżce ceny sprzedaży... W rok zjedlibyśmy doszczętnie cały nasz przemysł żelazny...

REMLER:

A widzi pan, że na moje wyszło! Ot do czego doprowadzają nas ustępstwa... do absurdu!... Przebacz pan, panie Winter, lecz my, F. Remler et compagnie, staraliśmy się zawsze odwozić pana

od tych pertraktacyj z robotnikami... i nie myśmy zaczęli pokazywać bilanse...

(Remler, wymieniając nazwy firm handlowych, wypowiada je ściśle, co do litery).

ST. WINTER:

No, nie, nie, panie Remler... Dlaczego?... Właśnie do rozsądku przemówić, przekonać, dowieść czarno na białem...

REMLER:

Czego, panie Winter, czego?...

ST. WINTER:

Że unormowanie warunków pracy...

REMLER:

Warunki normuje podaż i zapotrzebowanie, decyduje rynek, a nie widzimy jakiejś tam partii!... Wczoraj żądali książki głównej, świat się kończy!... Tak, panie Winter, postąpiliśmy nierozważnie, nasza pojedynawczość ośmieliła do tem większych wymagań... a skutek prosty narad — trzeci tydzień bezrobocia!... Obstalunek za obstalunkiem wyłapuje nam zagranica, a my, co?... Nic! Zjadamy kapitał zapasowy i przyglądamy się niszczeniu nam inwentarza...

ST. WINTER:

Ależ nareszcie może ustąpią!... Zawsze porozumieć się nie zaszkodzi... Przedłoży im się... zobaczmy!...

REMLER:

Porozumieć...

(wyjmuje portcygarnicę, dobywa z niej cygaro, zapala własnymi zapalkami, nie częstując Wintera).

Hm, dlaczego nie. F. Remler et compagnie niczego innego nie pragnie... tylko, że dla nas znaczy to... za strejk ani fenia, agitatorów precz, warunki też same...

ST. WINTER:

A jak się nie zgodzą?

REMLER:

Fabrykę obstawiamy wojskiem, sprowadzamy sobie Niemców, belgijczyków, chińczyków bodaj...

ST. WINTER:

(kręci głową)

A nie, panie Remler,... tak nie można... toć swoi, toć nie obcy, toć nasi!...

REMLER:

Kapitał także jest nasz... Zresztą mam pełnomocnictwo „Sukcesorów Cichowicza“, „Walcowni Gromowice“ i „Hammersteina i synów“...

ST. WINTER:

Lecz przecież nie wyjdziecie na swoim z robotnikiem zagranicznym?!...

REMLER:

Nam też idzie tylko o przetrzymanie, bo strejkowicze mogą wytrwać jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, no rok... a potem: nędza im napędzi rozumu...

(Winter milczy, Remler po pauzie)

Ano trudno, nie każdego stać na taką filantropię, jak Wintera i spółkę...

ST. WINTER:

Nie rozumiemy się, panie Remler, nie rozumiemy... gdybyś pan, tak jak ja, trzydzieści lat przy tym samym warsztacie przeżył, gdybyś znał tych swoich robotników, których potępiasz ryczałem, przekonał byś się, że są między nimi dobrzy i źli... i wiedziałbyś, że dotąd pędzili wśród nas sieroce życie, że ledwie wiedziano o nich, że istnieją, bo ani zajmowano się nimi... ani wyobrażano sobie, aby ten czarny, potulny tłum mógł urósć na siłę... aby śmiały dyktować warunki, aby ważył się roić o znośniejszym bytowaniu... I cóż się stało? Stało się to, co i gdzieindziej: cudze doświadczenie niczego nas nie nauczyło... Tłum robotniczy znalazł sobie obcych proroków... Dziś my zaczynamy doń mówić, chcemy nawrócić go ku sobie, chcemy budzić w nim ducha obywatelskiego, wzywać do poszanowania obywatelskiego... lecz możeż wierzyć ten tłum, możeż nam ufać, gdy lojalność nasza i wyrozumiałość zaczęła się dopiero pod grozą buntów, strejków, strat materyalnych i brauningów...

REMLER:

(znudzony)

Być może, bardzo być może, ale to nie nasza wina. F. Remler et compagnie egzystuje dopiero dziesięć lat i nie może być odpowiedzialnym za żadne uchybienia firm dawniejszych...

ST. WINTER:

(z westchnieniem)

Nie rozumiemy się, nie rozumiemy...

REMLER:

No, no, szanowny szef firmy socjalizuje... Ostatecznie, słowo honoru, myśmy gotowi, ale w granicach, w granicach... Najlepszy dowód, że stawiłem się... na naradę. Tylko, panie Winter, nie za pośpieszenie... oni żądają i my żądamy, oni ustępują i my ustępujemy cośkolwiek... Pan z nimi potrafi, jak nikt, przepadają za panem!...

ST. WINTER:

(smutnie)

Minęły te czasy, minęły może bezpowrotnie, tacy nawet, którzy od wyrostków są u mnie, tacy, którzy posiwili razem ze mną, opuścili mnie... a jeżeli w duszy i pragną, aby to bezrobocie się skończyło, boją się ust otworzyć... Los mojej fabryki spoczywa w ręku kilkunastu warchołów.

REMLER:

(zafrasowany)

Ogólna opinia przedstawicieli jest przekonaną jed-

nakże, iż pan mocen jest przeważyć zwycięstwo na naszą stronę.

ST. WINTER:

Wolne żarty, panie Remler... ja? ja?... Ależ patrzże pan, co się u mnie dzieje... Szpital mi rozbili... szkółka poszła nawet na ofiarę ich pasy...

REMLER:

(z naciskiem)

Hm, bo gdyby pan chciał wykorzystać wpływ swój, gdyby pan zdecydował się tylko na odwołanie się do tego, który przewodzi temu ruchowi... Niech mi pan za złe nie bierze, panie Winter, powtarzam jedynie głos opinii... Wszak ten... ten Chwilecki jest nieomal pańskim pupilem...

ST. WINTER:

Zobaczysz go pan tutaj i przekonasz się, co znaczę u mego, jak powiadasz, pupila...

REMLER:

Rozumiem, stosunki naprężone!... Lecz, panie Winter, wszak pan Alfred żeni się podobno z panną Zakęcką, siostrą żony Chwileckiego, więc panie przez kobiety... przez Zakęckiego... wszak to przyjacieli domu!... Panna Zakęcka robi świetną partyę... Chwileckiemu niewątpliwie musi zależeć... Zastrzegam się zresztą... lecz tylko dobra wola, tylko chęć ratowania od klęski naszych zobopólnych interesów...

ST. WINTER:

Wyprowadziła pana na manowce...

REMLER:

Więc wiadomość o małżeństwie?...

ST. WINTER:

Jest prawdziwą, ale, niestety, żadnego wpływu tu nie ma. Doktor Zakęcki nie znaczy nic u zięcia, syn mój zaś nie wiele dotąd u panny, która, przeciwnie, z całą zapalczywością wierzy w szwagra... Zresztą, panna Elka ledwie co z krótkiej sukienki wyszła... Ten jej radykalizm, to bodaj właśnie ten wdźwięk, który podbił Fredzia!... Lecz to wszystko niepewne, niezdecydowane, a co najważniejsze, bezsilne wobec naszej sprawy... Chwilecki jest fanatycznym doktrynerem, rojącym o jakimś żywiotowym przewrocie, który za jednym zamachem ma cały świat ująć w karby nowego ładu. Dola robotnicza, to dlań miazga, materyał palny...

REMLER:

(zniecierpliwiony, przerywa)

To smutne, panie Winter,... tem smutniejsze, że nie każdy może tak spokojnie rezonować... bo i nie każdy ma za sobą taki potężny kapitał... jak firma Winter i spółka...

ST. WINTER:

Jakto?...



REMLER:

A no... przecież Winter junior ma pół miliona na otwartym kredycie... i gra na zniżkę... W tych warunkach można czekać i świetnie na tem wyjść, bo strejk zabije konkurentów...

ST. WINTER:

(ostro)

Panie Remler, za śmiało czynisz przypuszczenia!...

REMLER:

Pan Alfred Winter...

ST. WINTER:

(żywo)

Nie ma nic do moich interesów, jedyną wspólniczką komandytową jest Barbara Winter, moja żona... Fredzio jest niezależnym, miesza się o tyle do fabryki, że namawia mnie od dwóch lat do likwidacji... i usłuchałbym go oddawna, gdyby nie nawyk, gdyby nie przywiązanie do tych murów, gdyby nie ci nieszczęśliwi opętańcy...

(Remler uśmiecha się ironicznie)

Mówię prawdę, lecz nie żądam, abyś mi pan wierzył... w tym wypadku mam przykład na Fredziu!... Jesteśmy sobie na pewnym punkcie tak samo obcy, jak z Chwileckim. Jeden zgarniałby bez litości, bodaj z krzywdą całego świata, drugiby rujnował, trwonil owoce krwawej pracy... Jeden wpadł w kosmopolityczną febrę bogacenia się, drugi w międzynarodową zarazę niszczenia bogactw, jednemu śni

się władza przez kult dla złota, drugiemu przez nienawiść, jeno ani jednemu ani drugiemu nie po-  
stanie myśl, że, poza tymi prądami międzynarodowymi, jest jeszcze ziemia, biedna, skołatana nasza ziemia...

REMLER:

Wybornie powiedziane... tylko, że, co do ziemi, to na to są panowie Zamoyscy, Potoccy czy jak tam... a F. Remler et compagnie w takie sprawy mieszać się nie może!... My jesteśmy bezpartyjni, my za sprawiedliwością. Pańskie oświadczenie jest dla nas bardzo ciężkiem, ale cóż, zobaczymy, co delegaci powiedzą... A jak nie, hm, to i my potrafimy być siłą...

SCENA II.

ST. WINTER, REMLER i ZAKĘCKI.

UWAGA: Zakęcki chudy, drepczący staruszek, o ruchach żywych i głosie skrzeczącym.

ZAKĘCKI;

(wchodzi drzwiami z lewej)

Nie przeszkadzam panom? Nie przeszkadzam?...

(Winter podnosi się).

ST. WINTER:

Pozwolisz, panie Remler... doktor Zakęcki...

(Remler wstaje, wita się z Zakęckim).

ZAKĘCKI:

(witając się z Remlerem)

A mam honor pana Remlera!...

ST. WINTER:

I jakże tam moja staruszka?...

ZAKĘCKI:

Lepiej, o dużo lepiej, gorączki ani, ani!... Dziś niech sobie poleży... a jutro już od rana choćby... byle się nie denerwowała, nie przejmowała... Zasadziłem przy chorej Elkę...

ST. WINTER:

Dziękuję ci mój konsyliarzu... no siadaj z nami!..

(Siadają).

REMLER!

(do Wintera)

Więc żona pańska?...

ST. WINTER:

(z westchnieniem)

Kwęka mi od tygodnia... wylekła się, zmartwiła, a gdy, na dobitek, szpitalik nam rozbili, to już ścięło ją z nóg zupełnie...

(częstuje Zakęckiego papierosem)

ZAKĘCKI:

O, O... bo też, panie, to wandalizm, barbarzyństwo, panie, taki szpital, taki szpital... wzór, panie... Sala

operacyjna, centralne ogrzewanie, kamera dezynfekcyjna, wentylacja... ostatnie słowo postępu... Dwa lata pracy i na marne, panie, na marne!... A tu szkarlatyna między drobiazgiem... szpitale publiczne przepelnione... nieszczęście...

REMLER:

Phi... sami go chcieli...

SCENA III.

Ciż sami i ELKA.

ELKA:

(wchodzi drzwiami z lewej, spostrzega Remlera i zatrzymuje się)  
Ach, przepraszam...

(do Wintera)

pani Winter prosi pana na chwilę...

ST. WINTER:

Dziękuję, ale pozwól dalej... panie Remler...

(podnoszą się)

pan Remler... panna Ela Zakęcka...

REMLER:

Bardzo mi przyjemnie!... Bodajto automobil... jadąc tu, miałem zaszczyt widzieć panią w stronie parku... a pani już tu!...

ELKA:

(poważnie)

Pan wybaczy, lecz nie rozumiem!...

REMLER:

Jechała pani z panem Alfredem!...

ELKA:

Myli się pan, od rana jestem tutaj...

REMLER:

A... uch!... przywidziało mi się!... przywidziało!...

ELKA:

Panowie darują... Co mam powiedzieć pani Winter?...

ST. WINTER:

Idę z panią... Zaraz panom służę!...

(Elka a za nią Winter wychodzą na lewo).

SCENA IV.

REMLER, ZAKEŃCKI, potem ANTONI.

REMLER:

Tam do licha, palnąłem głupstwo, mój konsyliarzu, przed godziną widziałem pana Alfreda w samochodzie z jakąś damą, no i byłem pewnym, że to narzeczona!...

ZAKEŃCKI:

Więc cóż to szkodzi?...

REMLER:

(śmiejąc się)

Bodajto taki teść!... Ale, dalipan, i taki zięć wart wyrozumiałości!... Udał się, konsyliarzowi, udał... może więcej niż pierwszy...

(Antoni wchodzi z przedpokoju i wychodzi szybko na lewo, po małej pauzie wraca i wchodzi do przedpokoju, w którym zaczyna się ruch: widać Chwileckiego, Zeltnera, Wałowicza, Rym-szę i Szturmana, jak rozbierają się powoli z palt i jak im Antoni pomaga z oznakami niechęci).

ZAKEŃCKI:

A, nie mogę się uskarżać, panie Remler, Chwilecki, panie, ma przyszłość... do izby, panie, wchodzi... stoi, panie, na czele!...

REMLER:

Hm... nie powiem... bo ja, panie, też jestem... tym!... Ja także nie cierpię burżuazyi, ale, niech pana to nie obraża, pański zięć za daleko, o zadaleko!... Gwałty, strejki, awantury, skandale... Ho, ho, ale my, F. Remler et compagnie się nie boimy, my, panie, mamy na to sposób...

ZAKEŃCKI:

Henio, panie, jest najspokojniejszym pod słońcem...

REMLER:

(przerywając)

I, mój konsyliarzu, my dla pańskiego zięcia byliśmy zawsze!... Nasz wspólnik kupił przed tygodniem

cztery pejzaże od żony pana Chwileckiego, więc chyba pewna uwaga... nam się należała...

ZAKĘCKI:  
(zakłopotany)

Kiedy, bo widzi pan idea, idea, panie!... Jak się zadasz z ideą, to, panie, nie ma swata, nie ma brata!... Mnie samemu przykro, bo i ten szpital...

(mówi dalej cicho)

SCENA V.

REMLER, ZAKĘCKI, ST. WINTER, a potem CHWILECKI, ZELTNER, RYMSZA, WAŁOWICZ i SZTURMAN.

ST. WINTER:  
(wchodzi szybko z lewej)

Przyszli!... Doktorze, bądź z nami, twoja obecność wpłynąć może na Chwileckiego... przecież niechże pocują, że nie z wrogami mają do czynienia...

ZAKĘCKI:  
Bardzo chętnie, bardzo chętnie...

ST. WINTER:  
Pozwólcie, panowie, do kancelaryi...

(Winter, Remler i Zakęcki postępują ku drzwiom, na prawo, równocześnie z przedpokoju wychodzą powoli Chwilecki, Rym-sza, Zeltner, Wałowicz i Szturman. Następują ukłony obojętne).

ST. WINTER:

(do Chwileckiego, podając mu ociężale rękę)

Panie Henryku, oby to nasze dzisiejsze spotkanie nie zawiodło nadziei, pokładanych...

HENRYK:  
(zimno)

Wszystko zależy od dobrej woli panów...

ST. WINTER:

Tej nam podobno nie zabraknie!... Proszę panów, przejdziemy tu, do biura...

(wskazuje drzwi na prawo, Remler chce się ceremoniować z Chwileckim, lecz podczas Zeltner uprzedza ich i wchodzi pierwszy, za nim idzie Rym-sza, Wałowicz i Szturman, potem dopiero Remler).

ZAKĘCKI:  
(odciągając na stronę Chwileckiego)

Mój Heniu, łagodźże, nie nastawaj...

HENRYK:  
Niestety, ojcze, pomimo chęci, musimy...

ZAKĘCKI:  
Ależ oni chcą, poczynią wam ustępstwa...

HENRYK:  
Nasze wymagania wzrosną...

(Henryk zwraca ku drzwiom na prawo, Zakęcki idzie tuż i tłumaczy mu coś. Równocześnie z przedpokoju wysuwa się Antoni i postępuje za odchodzącym na prawo Winterem).

SCENA VI.

ST. WINTER i ANTONI.

ANTONI:

(idąc za odchodzącym Winterem, mówi półszepem)  
Proszę pana, proszę pana, pan Zbiświcz ma pilny interes... czeka tu, tuż...

ST. WINTER:

A nie mogę, widzisz przecież...

ANTONI:

Kiedy bo właśnie to według tego samego... na fabryce hurma robotników się zebrała... kotlarze są co do jednego... chcą robić...

ST. WINTER:

(poruszony)  
Wołajże pana Zbiświcza, prędko...  
(Antoni wybiega do przedpokoju i woła)

ANTONI;

Proszę pana! proszę pana! Nie ma!... Można, można...

SCENA VII.

ST. WINTER i ZBIŚWICZ.

ZBIŚWICZ:

(wchodzi szybko)  
Panie, nowina, wielka nowina... za pół godziny maszyna rusza!...

ST. WINTER:

Co pan mówisz?... Przyszli, przyszli do roboty?...

ZBIŚWICZ:

Są, stary Kaleciński przeważył szalę na naszą stronę... Robotnicy zeszli się w pojedynkę... brak raptem piętnastu, licząc w tem i tych, tu!... Bramę zabarykadujemy na wszelki wypadek... przy furtce postawimy straż...

ST. WINTER:

(ściska z uczuciem rękę Zbiświcza)  
To pańska zasługa, pańska! Ogłoś im pan odemnie 20% podwyżki... tyle, ile chciałem dać delegatom...

ZBIŚWICZ:

To nie potrzebne.

ST. WINTER:

Nic, ogłoś pan!... Tylko mój, panie Zbiświcz, aby strzeż się pan, aby nie narażaj!... Ja tu tymczasem będę pacyfikował z nimi...

ZBIŚWICZ:

A to po cóż?

ST. WINTER:

Żeby im wytłumaczyć, żeby nakłonić ich do zgody... Ale, może pan przyjdiesz na posiedzenie?...

ZBIŚWICZ:

Nie, panie Winter, wolę niewidzieć...

ST. WINTER:

Nie nalegam, ale nie zaprzataj sobie nim głowy...  
Takie to czasy... bo ja wiem, masz pan, dwóch ich  
było... Alfred i Henryk, pamiętasz pan, jak, żeśmy  
się martwili, dokąd którego wysłać za granicę?...  
Ano i każdy nam co innego przywiózł... jedno i dru-  
gie nie tęgie, bo obce...

ZBIŚWICZ:

A jednak, ciężko pomyśleć...

ST. WINTER:

Wytrwania, zimnej krwi a zobaczysz pan, że jesz-  
cze na nasze wyjdzie!... No, ja muszę do nich...  
Uf... a to mi sił przybyło!... Patrz pan a Remler  
zjawił się tu z lokautem w kieszeni... Ale, ale, a każ  
pan zawołać panny Zakeckiej, jest przy Basi, i pow-  
tórz jej pan nowinę... uzdrowi to Basię natych-  
miast... I trzeba, bo by się przestraszyła gwizdawki...  
A niechże tam tego gwizdzą...

ZBIŚWICZ:

Ho, ho, sam im puszcę syrenę!...

ST. WINTER:

(idzie ku drzwiom na prawo)

A daj znać Basi!...

(Winter wychodzi)

SCENA VIII.

ZBIŚWICZ, ANTONI, potem ELKA.

ZBIŚWICZ:

(idzie do przedpokoju i mówi we drzwiach)

Antoni, niech Antoni poprosi tu na chwilę panny  
Zakeckiej...

ANTONI:

(w głębi przedpokoju)

Dobrze...

(Zbiświcz zawraca na przód sceny, Antoni wychodzi z przed-  
pokoju i idzie do drzwi na lewo, po pauzie wchodzi Elka, za  
nią Antoni, poczem Antoni wraca znów do przedpokoju)

ANTONI:

(mówi do Elki za sceną)

Nie wiem, proszę panienki...

ELKA:

(do Zbiświcza)

Dzień dobry panu... pan mnie...

ZBIŚWICZ;

Tak, pan Winter prosił, żeby zawiadomić panią  
Winter o tem, że strejk u nas skończony i że, lada  
chwila, fabryka pójdzie w ruch...

ELKA:

(z ukontentowaniem)

Więc porozumienie z delegacją...

ZBIŚWICZ:

Toby dopiero była nowina!... Otóż nie, partya nasza wzięła górę... robotnicy idą na przebój do pracy... Jutro za naszym przykładem ruszą dwie inne fabryki, pojutrze już ani mowy o strejku...

ELKA:  
(zdziwiona)

I Henio zgodził się?...

ZBIŚWICZ:  
(opryskliwie)

Henia nikt się o zgodę nie pytał... Powtórz z łaski swojej pani Winter, to, co powiedziałem...

(idzie ku przedpokojowi, Elka postępuje za nim kilka kroków).

ELKA:

Przepraszam pana... lecz przecież dziś miało być posiedzenie, Henio mówił...

ZBIŚWICZ:

Mówił!... Żegnam panią...

(Zbiświcz wychodzi).

SCENA IX.

ELKA i ANTONI.

(Elka przez chwilę patrzy za Zbiświczem, poczem zawraca ku drzwiom na lewo, podchodzi, zastanawia się i cofa się ku środkowi sceny. Antoni ukazuje się we wgłębieniu, zajęty przewieszaniem palt. Elka zbliża się do Antoniego)

ELKA:

Mój panie Antoni... więc już się te narady skończyły?...

ANTONI:

(zajęty)

E... gdzie zaś... ledwie zaczęli!... Tylko, że to im pan Zbiświcz takiego śpasa zgotował, he... he... aż niepodobna!...

ELKA:

(zaniepokojona)

Jakto? jakto?...

ANTONI:

(śmieje się)

Okrutnego śpasa... bo to, widzi panienska, w kancelaryi to się z naszym panem targują o robotę, a tu ci robota tylko patrzeć, a się zatrzęsie sama...

ELKA:

Ależ to niemożliwe, przecież bez zgody komitetu nie mogą zaczynać!... Robotnicy z innych fabryk...

ANTONI:

Ho... ho!... naszych nie ugryzą... bo i co!... Oni sobie a nasi sobie, jak komu wola!... Nasi są narodowcami, akuratnie, proszę panienki, a kto nim nie był, to go strajkowa nędza nauczyła rozumu... Agitowaliśmy, a jakże, ciężko szło, aż dopiero, jak im własne kiszki zagrały, tak juści przejrżeli do reszty...

ELKA:  
(pomieszana)

Tak, tak, lecz do tego nie można dopuścić, nie podobna!

ANTONI:

Niech panienska się nie turbuje, nasi tęgi naród!... Zechcą na pięście, no to na pięście, a złączą z bromigów to z bromigów pójdzie!... Nasz pan kasyer... ho, ho!... za dwudziestu sepesów starczy... Co tu gadać, niechno panienska zobaczy przez okno... ile to luda się uwija...

(Antoni idzie do okna, Elka pogląda za nim)

O, o... niech panienska ino spojrzy!... O, a tam, za bramą, wystają socyały...

(wpatruje się)

A no gromada ich się zebrała!...

ELKA:

Mój panie Antoni, czy pan nie mógł by wywołać na sekundę pana Chwileckiego?

ANTONI:  
(podejrzliwie)

Tego... tego?...

ELKA:

Znacie go... więc poproście, że ja... albo lepiej, nic mu nie mówcie...

ANTONI:  
(niechętnie)

Mnie tam, proszę panienska, nie pasuje... i co mi do niego... jeszcze by nasz pan... A on tu po co?...

(słysząc dzwonek w pokoju na prawo)

O akuratnie... nasz pan...

(idzie ku drzwiom)

ELKA:

Mój, panie Antoni, powiedz mu, czekam na niego...

ANTONI:

(wzrusza ramionami i mruczy pod nosem)

A juści... możesz se czekać do jutra...

(Antoni wychodzi na prawo)

SCENA X.

ELKA, potem CICHEJKO.

(Elka przez chwilę wpatruje się niespokojnie w drzwi, za którymi zniknął Antoni, poczem idzie do okna, patrzy przezeń, następnie znów zbliża się ku drzwiom na prawo, wreszcie z oznakami najżywszego strapienia i niemocy osuwa się na fotel przy stoliku po prawej stronie sceny i ukrywa twarz w dłoniach. W tejże samej chwili w przedpokoju ukazuje się Cichejko. Cichejko idzie powoli, rozglądając się i szurając nogami).

CICHEJKO:

Hm, hm... przepraszam, wszak to tu odbywa się narada?...



ELKA:

(podnosi się żywo ku przybyłemu)

Tak...

CICHEJKO;

Należę do delegacyi robotniczej, spóźniłem się nieco...

ELKA;

(żywo)

Pan jesteś członkiem komitetu?...

CICHEJKO:

No,... jestem...

ELKA:

(gorączkowo)

Więc, panie, ratuj pan strejk... Tam obradują, nic nie wiedząc, że tu, lada moment, fabryka idzie w ruch, a ja nie mam sposobu uprzedzić... towarzyszów!... Jestem siostrą żony Chwileckiego...

CICHEJKO:

(z wybuchem)

Właśnie z tem przybywam, zdradę nam tu gotują... Trzeba alarmować wszystkie rewiry!... Gdzie obradują?...

ELKA:

Nie, pan nie możesz do nich iść... mogą cię nie wpuścić, mogą umyślnie zatrzymać... Nie wiem, lecz mam najgorsze przecucia.

(idzie ku oknu)

Widzisz pan stąd to drugie podwórze...

CICHEJKO;

(patrzac przez okno za Elka)

Palą pod kotłami... Cha, szelmy, łamistrejki....

ELKA:

Widzisz pan... a Henio tu, w dobrej wierze, do nich...

CICHEJKO:

Cha, lecz zobaczmy!... Nie ma układów! Zdrada!... No, ale mamy na szczęście bojówkę pod ręką... Bóg zapłać, pani... Bóg zapłać, pani ratujesz sprawę robotniczą... Oho, bo jeszcze nie ich wygrana, jeszcze nie ich...

(Cichejko wybiega przez przedpokój).

SCENA XI.

ELKA, po chwili ANTONI.

(Elka, po odejściu Cichejki, oddycha z ulgą, i ociężałym krokiem zmierza ku drzwiom na lewo, gdy już ma ująć za klamkę, przez drzwi z prawej wchodzi Antoni, Elka zatrzymuje się i odwraca ku przybyłemu głowę).

ELKA:

Czy pan Antoni powiedział?...

ANTONI:

A no tak, ale nie ma czasu...

ELKA:

Jakby się pytał o mnie, to proszę mi dać znać...

ANTONI:

Pewnie, pewnie, a dlaczego by nie...

(Elka wychodzi na lewo. Antoni patrzy za odchodzącą, mruczy coś pod nosem i idzie zwolna ku oknu. Tu staje, ogląda, zaczem otwiera raptem okno i wychyla się).

ANTONI:

Hej panie starszy, no a co?...

(odpowiedzi osoby za sceną nie słyhać, aktor winien uważnie wytrzymać pauzy, aby dać wrażenie rozmowy)

To ci to będzie uciecha! A no nic, gadają po swojemu i tyle! Ale ich się siła zbiera na ulicy przed fabryką... o, stąd ci ich widać, byleście furtki obronili! Ehe, mnie samego świerzbi łapa na którego! O... o... o, a to ci tam ciżba się robi. O, dryndziarza ściągają z kozła, poszaleli! Juści, że się doigrają i co z tego, znów ci padnie kilkunastu!

(słyhać gwałtowne sygnały trąbki automobilowej, Antoni momentem wychyla się przez okno i patrzy w dal)

Tam do licha, a toć nasz pan Alfred! Zatrzymują go, ściągają o... i panią jakąś ciągną... panie starszy, ady ratujcie!

(woła)

Do furtki ich!... do furtki!...

(Antoni w oknie wygląda, okazując żywe wzruszenie i wyrzucając oderwane wyrazy)

A ci!... o la Boga!... Bodajże was!... O to, to, a jeszcze go!...

(Antoni odskakuje od okna i wbiega szybko do przedpokoju, naprzeciw wchodzących szybko, Alfreda i Maryi).

ANTONI, ALFRED i MARYA.

(Alfred i Marya w automobilowych strojach i stosownych nakryciach głowy. Palto Alfreda ma rękaw wyrwany i nosi ślady stoczony bójki)

ALFRED:

(wchodzi pierwszy, za nim Marya i Antoni)

A to już przechodzi granice, napaść w dzień, na równej drodze...

MARYA:

(osuwają się na najbliższy fotel)

Wody...

(Antoni zafrasowany wybiega i wraca po chwili z wodą)

ALFRED:

Uspokój się, uspokój... i tak szczęśliwie, żeśmy uszli.

(do Antoniego, który wraca z wodą)

Zatelefonuj do policji... automobil został na ulicy, gotowi mi go zniszczyć...

ANTONI:

(podaje wodę Maryi)

Et tam pewnie już, proszę pana, nie ma się po co schylić...

ALFRED:

(ściągając ze siebie płaszcz)

Co tego to zanadto!... Gdzie ojciec?

ANTONI:

W kancelaryi, niby na tej sesyi...

ALFRED:

Czyste kpiny! No, ale tak dłużej być nie może, do-  
syć tych awantur..., fabryka musi być zamknięta!...

(do Antoniego, po pauzie)

Idź i powiedz panu, że muszę się natychmiast z nim  
widzieć...

ANTONI:

Uważam... tylko, że tam ani dostępu...

ALFRED:

Idź i puć stój, póki ojciec nie wyjdzie...

(Antoni zmierza ospale ku drzwiom na prawo)

Ja tu czekam...

rozumiesz?

(Antoni wychodzi)

MARYA:

(wstaje)

Alfredzie, ja muszę stąd, muszę... wyprowadź mnie...

ALFRED:

Ależ, dziecko... dokąd?... Widziałaś sama... trzeba  
zaczekać aż się tłum nie rozproszy... Wpadliśmy  
prosto w pułapkę... licho mnie podsunęło wra-  
cać około fabryki... ale tobie samej zdawało się  
to pewniejszem, niż droga przez Główną ulicę...

MARYA:

(pomięszana)

Ale co teraz, co teraz... Henryk jest tutaj, Elka...

ALFRED:

Nie ma rady... musisz się zdecydować na cierpli-  
wość, przeprowadzę cię do mego... mieszkania...

MARYA:

Niepodobieństwo, jestem przekonana, że mnie ro-  
botnicy poznali, zresztą ten tu służący... naraziła-  
bym się...

ALFRED:

Masz słuszność, masz słuszność... No więc trzeba  
coś powiedzieć!

MARYA:

Czekaj, spotkałeś mnie idącą tu, w odwiedziny do  
twojej matki... albo nie, szłam prosto po Elkę...

ALFRED:

(kończąc)

Spotkałem cię, chciałem podwieźć, no i po wszyst-  
kiem.

MARYA;

(spoglądając po sobie)

Pozwól, a ten kostyum?...

ALFRED:

(zaczyna pomagać Maryi zdejmować okrycie i czapkę samochod.)  
Twój kostyum pójdzie tymczasem do mojej gar-  
deroby...

(zawija w swój płaszcz okrycie i kapelusz Maryi)

O... tak!...

(wynosi za scenę paczkę z rzeczami i wraca szybko, Marya po-  
prawia sobie włosy w podręcznym, kieszonkowym lusterku)

No więc wyjdziemy ostatecznie obronną ręką...

MARYA:

Nie zupełnie, bo jeszcze stąd muszę wyjść, no i nie będę miała w czem... bo ten uniform...

ALFRED:

Nic, nic... niech się tylko uspokoi, wysłę mego grooma do twej modniarki...

MARYA:

Ach, Alfredzie, nie uwierzysz, jak mnie to wszystko męczy!...

ALFRED:

I mnie, i mnie...

MARYA:

Ostatkiem sił walczę, aby nie potargać tych nieznośnych więzów...

ALFRED:

Szaleństwo, szaleństwo, nie czyń tego, zostaw czasowi... powoli znajdziesz sposobność...

MARYA:

A tymczasem kłam, oszukuj, potykaj się z wiatrakami pozorów...

ALFRED:

Co robić... zresztą wyjedziesz za parę tygodni... no i w ten sposób Henryk...

MARYA:

A więc idzie ci o Henryka... no, więc nie znasz jego poglądów...

ALFRED:

Poglądy w takich razach zawodzą...

MARYA:

Tem gorzej dla niego, ja mam dosyć tego pożycia...

ALFRED:

(ujmuje ją za rękę)

A pamiętasz, Maryo, te rozmowy nasze w Biarritz... pamiętasz, jak półsłówkami próbowałem cię obudzić dla tej samej prawdy?... Wasza rozłąka wykopała między wami przepaść, przepaść równie wielką, jak wielką była przestrzeń, dzieląca słomianą wdówkę, zabawiającą się malarstwem pośród cyganeryi artystycznej Paryża, od chmurnych dni zesańca... Ba, ludziłaś się wówczas, idealizowałaś, pochlebiało ci być żoną męczennika myśli... nie zważałaś, iż to męczeństwo właśnie ciebie, kobietę, nie mającą skłonności do ascetyzmu, spycha na taki kraniec, na którym nigdy nie możesz spotkać się z Henrykiem...

MARYA:

Do czego prowadzisz?...

ALFRED:

Do tego, moja najdroższa, że teraz znów trzeba rozważy, zastanowienia i wytrwania...

MARYA:

Więc skończ przynajmniej już raz z Elką!...

ALFRED:  
A no tak, naturalnie...

MARYA:  
Wahasz się?... Wolisz udawać konkurenta?...

ALFRED:  
Ach, cóż znowu, prosta uczciwość!... Zresztą, to najmniejsze, bo, przyznasz, siostra twoja nie darzy mnie względami...

MARYA:  
Bo wogóle jest trudną czasem do odgadnięcia... lecz może ty wolisz...

ALFRED:  
(całuje ją w rękę)  
Co za przypuszczenia... radbym tylko dać jej pierwszeństwo...

MARYA:  
Masz doskonały punkt wyjścia... W rozmowie natrzyj ostro na Henryka, jestem przekonana, że Elka tego nie zniesie...

SCENA XIII.

CIŻ SAMI i ELKA:

ELKA:  
(wchodzi z lewej i tak, że słyszy ostatnie słowa Maryi)  
A, witam...

ALFRED:  
Moje uszanowanie!...

MARYA:  
Ja po ciebie, Elko!...

(witają się)

(równocześnie).

ELKA:  
Po mnie?... a... czegoż „to Elka nie zniesie“?...

ALFRED:  
Bo właśnie, proszę pani...

MARYA:  
(wtrąca się pospiesznie)  
Pan Alfred uczynił zarzut Henrykowi... z powodu jego mowy programowej...

ELKA:  
(spokojnie)  
Nie dziwię się temu!... Ale, bo pani Winter zaniepokojona... podobno  
(z naciskiem)  
spotkał państwa jakiś napad...

MARYA:  
(poprawiając)  
Chcesz powiedzieć, pana Alfreda!... Ja właśnie do pani Winter...

(ujmuje Elkę pod ramię)  
Pozwól, Elko, wszak to tędy do pani Winter?...  
(Marya z Elką idą ku lewym drzwiom)

ELKA:  
(zimno)  
Tędy...

MARYA:  
Szłam tu po ciebie...

ELKA:  
(idąc)  
Szłaś po mnie...  
(wychodzą)

MARYA:  
No tak, na rogu ulicy Głównej, spotykam pana Alfreda w samochodzie... Pan Alfred...  
(głos Maryi ginie za sceną)

SCENA XIV.

ALFRED, ST. WINTER i ANTONI.

(Alfred zdenerwowany chodzi po scenie. Drzwiami z prawej wchodzi Winter, za nim Antoni. Ten ostatni przechodzi przez scenę i znika w głębi przedpokoju).

ST. WINTER:  
(zafrasowany)  
Fredziu, co się stało?...

ALFRED:  
A no, kochani robotnicy napadli mnie przed samą fabryką, wyrzucili formalnie z samochodu... i, gdyby nie kilku jakichś drabów... no, to chyba cały bym nie wyszedł... i w dodatku o mało co nie dostało się pani Chwileckiej, która zmierzała tu...

ST. WINTER:  
Żona?...

ALFRED:  
(wymijająco)  
Tak, przyszła odwiedzić... Mamę przyszła odwiedzić...

ST. WINTER:  
Doprawdy te stosunki z Chwileckim zaczynają zakrawać na karykaturę...

ALFRED:  
(zagadując)  
Powiadam ojcu, napaść, rozbój!... samochód został się na łasce rozhułanych pięści panów strejkowiczów...

ST. WINTER:  
Co za ludzie, co za ludzie!... Rozżarte to, zbałamuncione!... Dzięki Bogu, żeś choć im uszedł... Pozwól, muszę tam do nich wracać... bo Remler gotów mi popsuć robotę...

ALFRED:  
Więc ojciec wciąż trwa przy swoim?...

ST. WINTER:  
Zostaw to mnie...

ALFRED:  
Ależ, proszę ojca, to staje się śmiesznem... żeby ojciec na stare lata wdawał się w podobne awantury!... Co ojcu z tej nikczemnej, wyjącej i dymiącej budy?!... Idzie o straty?... No, więc ja ojcu

wypłacę natychmiast całą wartość fabryki... Niech sobie ojciec głowy stratami nie zaprzęta, ja na bessie akcyj fabryk żelaznych zarobiłem sto za sto...

ST. WINTER:

Wolałbym, żebyś stracił...

ALFRED:

Ideologia, urojenia!... A tu sprawa jasna!... Cha, cha... ojciec myśli, że oni ustąpią dobrowolnie?... No, niezawodnie, ustąpią, ale wówczas, gdy im zabraknie pieniędzy na żywienie strejku... Ale tymczasem... będą mieli środki, bo tych dostarczy im jeszcze zagranica... Oni chcą walczyć z kapitałem, cha, cha i walczą... ale nadewszystko i najpierw dla nas, dla kapitału!...

ST. WINTER:

Nie mów tak, Fredziu, bo słowa twoje dotykają mocniej, bołą więcej, niż ich, tam... zarzuty...

ALFRED:

(łagodnie)

Niech ojciec wybaczy żywe słowa, lecz nie masz dla mnie dość silnych... gdy widzę twe szamotanie się, rujnowanie resztek sił, to dobrowolne zatrucie siebie starości... Mój ojcie, dobre interesy wietrzeją, jak odkorkowane wino... Minęły te czasy, kiedy to z fabryczki o jednej astmatycznej lokomobili brało się po trzydzieści procent dywidendy!... No i nareszcie doczekał się ojciec syna... Gdyby

ojciec miał więcej dzieci... ale przecież mnie nie po tem...

(Winter usuwa się na fotel)

Ojcie, ojcie... budę zamknąć, żal ojcu tych urzędników, czy którego?... zapłacić, półroczne dać im pensye!... i zamknąć, bo, pomyśl, do czego cię to doprowadzi???

(za sceną rozlega się przeciągły, mocny gwizd syreny fabrycznej).

ST. WINTER:

(na dźwięk syreny zrywa się na równe nogi, wsłuchuje się z upojeniem, zaczem chwytą Alfreda za rękę i mówi doń z przejęciem)

Słyszysz, Fredziu... to głos zwycięstwa... to moja pieśń nad pieśniami...

(pociąga Alfreda ku oknu)

Patrz, Fredziu, kominy już buchają kłębami dymu, koła zaczynają warczeć... Rozumiesz ty, co one mówią... oto serce drgnęło w piersi robotnika... oto duch weń wstąpił, duch potężny, wielki... i już go nam nie da na fale walki bratobójczej, i już go nie oderwie od naszej ziemi ukochanej... Fredziu, to niezapomniany dzień, to święta godzina ocknienia... Widzisz... a oni zacni, poczciwi... oni nasi, nasi rodzeni...

(usuwa się w ramiona Alfreda)

Ach, z tymi

dźwiękami chciałbym skonać!...

ALFRED:

Ojcie, nie poddawaj się...

(prowadzi Wintera, sadowi na fotelu, Winter otrząsa się ze wzruszenia)

Nie chciałem cię urazić,

ojcze... A cóż, mnie to twoje kłopotarstwo nie zawadza... Mówiłem, bo mi szło o ciebie...

(Podczas ostatnich słów Alfreda gwizd syreny milknie i tuż po nim wybucha wrzawa za sceną, z prawej strony. Alfred, mówiąc ostatnie słowa, słucha i ogląda się niespokojnie).

ST. WINTER:

(przychodząc do siebie)

Tylko już mi nie broń, daj mi tak dotrwać...

ALFRED:

(zaniepokojony j. w.)

Dobrze, ojcze, słowem nie wspomnę...

ST. WINTER:

(zaniepokojony, podnosi się)

Fredziu... tam się coś stało!...

SCENA XV.

CIŻ SAMI i ZELTNER, RYMSZA, WAŁOWICZ, SZTURMAN — a potem CHWILECKI, ZAKĘCKI, REMLER i ZBIŚWICZ.

(Zeltner, Rymsza, Wałowicz i Szturman wchodzą przez drzwi z prawej i giną w głębi przedpokoju, podczas mówią prawie równocześnie).

ZELTNER:

Za mną, towarzysze... tędy... tędy!...

RYMSZA:

Braunwigów im trzeba!...

WAŁOWICZ:

Nasi muszą być tuż!...

(równocześnie).

SZTURMAN:

Rozumu ich nauczyć, łamistrajków!...

ST. WINTER:

(na widok wybiegających, idzie ku nim, aby ich zatrzymać)  
Panowie, na Boga, pozwólcie, bo nie wiecie!...

(Szturman idzie ostatni, Winter zwraca się do niego)

Panie Szturman, panie Szturman!...

SZTURMAN:

(we drzwiach przedpokoju, odwraca się do Wintera)

Bojówka z panem pogada!...

ALFRED:

(odciągając Wintera)

Ojcze, ojcze, daj im, niech sobie idą!..

(Drzwiami z prawej wchodzi szybko Henryk, za nim Zakęcki i Remler).

ZAKĘCKI:

(we drzwiach do Henryka)

Heniu, ależ nie unos się, pozwól sobie powiedzieć, pan Winter ma najlepsze intencje...

HENRYK:

(wzburzony)

To jest zasadzka, podstęp... Na to pozwolić nie możemy...

REMLER:

(idąc ku Winterowi)

Świetnie, panie Winter, znakomicie, a to, panie, lepsze niż lokaut..



ZAKĘCKI:

(do Henryka, nie zważając na Remlera)

Lecz wypada się porozumieć... Mój Heniu, więc dla mnie to zrób... dla mnie...

(za sceną wybucha zgielk i bijatyka).

ST. WINTER:

Panie Chwilecki... w imię dobra tych tysięcy... nie odchodź!...

HENRYK:

(z mocą)

W imię tego dobra... zostać mi tu nie wolno ani minuty...

(odwraca się, aby wejść do przedpokoju i spotyka się oko w oko ze Zbiświczem)

(Pauza).

ZBIŚWICZ:

(ubranie w nieładzie, mówi z wybuchem)

No?... Czegóż się namyślasz?... Patrz, przed sekundą twój kolega... delegat za gardło mnie chwycił i na ziemię powalił... Teraz kolej na ciebie... dźgnij mnie... bo to ja!... Słyszysz, ja ich buntowałem... ja namawiałem, ja... rozumiesz? Masz skrupuły... a tam staremu Kalecińskiemu własny syn wygraża!... No, dalej!...

HENRYK:

(dumnie)

Wierzę ci, wuju, że dobra wiara w słuszność twych przekonań kazała ci iść... przeciwko mnie... i wierzę, że pragnąłbyś doli dla tego zbolełego, czar-

nego mrowia proletaryackiego... jeno, zaślepiiony... nie wiesz, gdzie się ta dola zaczyna...

(Zgielk za sceną się wzmaga).

ZBIŚWICZ:

A wiesz-że... ty?!!

(Za sceną rozlegają się strzały z brauningów, strzały tępe, charakterystyczne, na scenie powstaje zamęt).

ZBIŚWICZ:

(woła)

Bratobójstwo!!...

(wybiega).

HENRYK:

(woła)

To wasza wina!...

(wybiega za Zbiświczem do przedpokoju i za sceną).

ST. WINTER:

Na Boga, u mnie, u mnie...

REMLER:

(do Zakęckiego)

Po wojsko telefonować, po wojsko!...

(Strzały milkną, zgielk trwa).

SCENA XVI.

ST. WINTER, ALFRED, REMLER, ZAKĘCKI,  
MARYA, ELKA, potem ANTONI.

(Drzwiami z lewej wchodzi Marya i Elka, Alfred idzie naprzeciw i zatrzymuje).

MARYA:  
Panie Alfredzie, co się dzieje?...

ELKA:  
Gdzie Henryk, gdzie Henryk?...

} (równocześnie).

ALFRED:  
Niech się panie uspokoją...  
(mówią dalej po cichu).

ZAKĘCKI:  
(do Remlera i Wintera)  
A to u nich, panie, tak, do oczu panie, o przekonania, dla idei!...

REMLER:  
Tu, panie, bagnet tylko!...

WINTER:  
O bodajbym był wprzód śmierci doczekał!...  
(Z przedpokoju wpada Antoni).

ANTONI:  
Panie doktorze, panie doktorze, jeden z naszych ledwie żywy!...  
(Zgiełk przechodzi w pomruk).

ZAKĘCKI:

Zaraz, natychmiast!...  
(szuka po kieszeniach surduta)  
Gdzie mój portfel!... pewnie  
w palcie!...  
(idzie szybko do przedpokoju i szuka nerwowo między paltami).

ANTONI:  
Pana Zbiświcza ledwo co nie zatłukli!...

REMLER:  
(do Antoniego)  
Zatelefonować w tej chwili po wojsko!...

ST. WINTER:  
(zrywając się z fotelu)  
Antoni, ani kroku!...

GŁOSY ZA SCENĄ:  
O, Kaleciński!... ooo!... Kaleciński... bratobójcy!...

ZAKĘCKI:  
(mówi w głąb przedpokoju)  
A co, dawajcie go! tutaj! dawajcie!...  
(dobywa z wysiłkiem z kieszeni palta portfel z narzędziami)

SCENA XVII.

Ciż sami i tłum robotników z noszami, na których leży ranny  
JAN KALECIŃSKI — w ostatku MICHAŁ KALECIŃSKI.

ZAKĘCKI:  
(prowadzi tłum)  
Dawajcie tu, na stół, na stół!...

(Robotnicy kładą na stole nosze i grupują się za stołem, wypełniając przedpokój. Nosze fabryczne składają się z dwóch prętów, połączonych ze sobą płótnem).

**ZAKĘCKI:**

(robiąc sobie miejsce)

Proszę ustąpić, proszę ustąpić...

(Winter zbliża się do rannego. Zakęcki rozsuwa szybko koszulę na piersiach Kalecińskiego i sonduje ranę, na scenie cisza, słychać głębokie westchnienie rannego. Zakęcki ustaje, prostuje się powoli i mówi cicho)

To... z brauninga...

**POMRUK ROBOTNIKÓW:**

Zamordowali!!!

(przez tłum przeciska się gwałtownie Michał Kaleciński, ubranie w nieładzie, jaskrawo czerwona chustka na szyi; przypada do ręki rannego)

**MICHAŁ KALECIŃSKI:**

Ojciec... ojciec... co ojciec?...

(usuwa się na kolana).

**POMRUK ROBOTNIKÓW:**

I syn przeciw ojcu szedł!... i syn!...

**KURTYNA SPADA.**

**AKT TRZECI.**

Scena przedstawia ten sam gabinet w domu Chwileckiego, co  
i w akcie pierwszym.

HENRYK, ZAKĘCKI i ELKA.

Za podniesieniem zasłony kotara, zakrywająca perspektywę na salon, jest podniesiona. W głębi salonu widać stolik i Elkę, pochyloną nad papierami. Elka jest zajęta, nie zwraca uwagi na to, co się dzieje na przodzie sceny, i nie patrzy, w stronę sali widzów. Henryk siedzi za biurkiem, Zakęcki w palcie, z laską i kapeluszem w ręku stoi na środku.

ZAKĘCKI:

Mój Heniu, tylko się nie unos, tybyś chciał najlepszego, no i oni pragnęliby także... Remler, ja sam przyznam ci, że nie jest brylantem, ale takich Remlerów masz setki... Ustępował, póki był przy party do muru, a jak spostrzegł, żeście osłabli...

HENRYK:

(nerwowo)

To tylko chwilowo...

ZAKĘCKI:

On też chwilowo... chce skorzystać...

HENRYK:

Wstrętny burżuj...

ZAKĘCKI:

A nie, Heniu, nie znasz go... a nie znasz!... Remler i owszem... ani byś się spodziewał!... Powiadam

ci, nienawidzi sam burżujów!... Na samo ich wspomnienie, aż się trzęsie... Gdym coś bąknął w rozmowie... wpadł w furię... Słowo ci daję!... „Oni, gałgany, winni wszystkiemu! żeby nie oni, nie byłoby tych nienawiści, tego egoizmu społecznego, tego sobkostwa“... Tak mówił, no i nie dość, taka go passya zdjęła, że się zaklął, iż wszystkim burżujom u siebie w kamienicy podwyższy komorne... Powiada, niech płacą nicponie, trutnie...

HENRYK:

(wzrusza ramionami)

Śmiałym się, gdyby ten koncept nie krył smutnej prawdy...

ZAKĘCKI:

Ale on seryo, zupełnie poważnie!... Wcale dobry człowiek, sam mnie zagadnął o plany na szpital... I wiesz, nawet był rozżalony, bo, powiada, ja zawsze dla pana Chwileckiego byłem z wielkiem uznaniem...

HENRYK:

Wcale mi to zaszczytu nie przynosi... no i nic nie zmienia położenia... cofać się nie mamy prawa...

ZAKĘCKI:

(cicho)

Tak, tak... lecz, Heniu, nie wiesz może, iż mamy już i tyfus... głodowy... a ofiar, bójek i rozpraw!...

HENRYK:

(głucho)

Ofiary być muszą, ofiary moszczą drogę zwycięztwu...

ZAKĘCKI:

Masz rację, bezwzględna rację... lecz mi się nie dziwi, od dnia... śmierci tego Kalecińskiego, czy jak tam... istne jatki ludzkie... Ten tak myśli, tamten inaczej, no i dalej, do noża po argument...

HENRYK:

Boleję nad tem...

ZAKĘCKI:

I to szkalowanie po pismach... ach, Heniu, wy tam, wodzowie, jesteście ostrzelani, lecz mnie ciężko... widziałeś dzisiejsze dzienniki... Rozumiem na ciebie, chcą zniweczyć twą kandydaturę... no więc ten... Ale co im do... domu twego... do stosunków rodzinnych... a cóż ja?... cóż ja komu?...

HENRYK:

(poruszony)

Co, znów, gdzie? Gdzie ojciec czytał?...

ZAKĘCKI:

(szuka po kieszeniach)

W tym... jakże go... Miałem... w „Sprawiedliwości“... O, masz, masz... patrz tu... zaraz!...

(wyjmuje gazetę, rozkłada i podaje ją Henrykowi)

i wystaw sobie

ten numer przysłali mi, do domu przysłali!...

HENRYK:

(przebiega szybko wskazany mu urywek gazety, mnie ją w rękę i rzuca z pasyą na ziemię)

Podłe piśmidło!...

ZAKEŃCKI:

I... jakże znam przecież Stryszewskiego...

HENRYK:

(porywczo)

Cymbał, zacofaniec, wstecznic!... ale to i nasza własna wina... No, tak, proszę ojca, bo ostatecznie któż nas kompromituje!?... a no, stosunek z Winterami...

ZAKEŃCKI:

A, zapozwoleniem, mów sobie, co chcesz, ale na Winterów ci nie wolno...

HENRYK:

Ja też nie mam nic przeciwko nim... tylko nie mogę zgodzić się, aby mnie z nimi wciąż łączono, aby mnie wytykano jakieś z nimi komitywy...

ZAKEŃCKI:

(zafrasowany)

Prawda, Heniu, że to rzeczywiście... lecz cóż począć... urodziłeś się pod ich prawie dachem... związało cię z nimi imię ojca nieboszczyka, wuja Zbiświcza, no i moje...

HENRYK:

Nie w tem rzecz!... Tu idzie o stosunek obecny... Przyzna ojciec, że sama zależność ojca, jako lekarza fabrycznego, a potem znana zażyłość twoja ze starym Winterem rzuca cię na mnie, bo pozwala przypuszczać...

ZAKEŃCKI:

Ależ, Heniu, jakże bo ja mógłbym!... Pomyśl, dwadzieścia sześć lat... ależ oni bezemnie nie daliby sobie rady!...

(sposstrzegą się)

i... i... mnie byłoby trudno... boć to mieszkanie i ten, a z praktyki... już mi ciężko... młodych jakby posiał...

HENRYK:

Nie o tem właściwie myślałem, proszę ojca, bo cóż, ojciec ostatecznie pracuje ciężko, no i za liche pieniądze...

(ZakeŃcki protestuje)

Niezawodnie, lecz to... to małżeństwo Elki z Alfredem Winterem...

ZAKEŃCKI:

(szybko)

No, los, los dla dziewczyny!... Nie, nie, mój Heniu, przepraszam cię, lecz, co w tym wypadku, mylisz się... a mylisz się!... Alfred jest porządnym człowiekiem, owszem, to nawet, bardzo pięknie z jego strony... mógłby niewiem jaką pannę dostać...

HENRYK:

I ja nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie zbyt bliska koligacya z tak wielkim kapitałem... no i znów...

ZAKEŃCKI:

(przerywa)

A cóż to! Więc co ci w rezultacie ten kapitał może

zawadzać... No, nie, nie, mój Heniu, mów sobie, co chcesz, a to dla Elki partya... Bo, bo, ostatecznie, wasz ład nie odrazu przecież... więc dobrze, że tymczasem dziewczyna nie będzie miała kłopotów... Prawdziwie, Heniu, wiesz, że ja jestem z tobą, jestem tego samego zdania, co i ty... ale, w tym wypadku, nie mogę, absolutnie nie mogę!...

HENRYK:

I na dobitkę okoliczność, że Elka przebywa u nas...

ZAKEŃCKI:

(urazony)

A jeżeli ci Elka zawadza... to przepraszam... nie narzucam ci jej, sam obstawałeś za tem... bo i dziewczyna kwaśniała mi sama w domu po całych dniach, sam mówiłeś, że ponieważ wnosi do twego „Rozświtu“ swój posąg, więc niejako w procencie...

HENRYK:

Kiedy bo ojciec nie chce uwzględnić wyjątkowego położenia... Wizyty Alfreda u mnie narażają mnie... na takie paszkwile... bo i mogą doprawdy każdemu, najlojalniej myślącemu, podsunąć domysły... bo i jakżesz wygląda moja...

ZAKEŃCKI:

(rozdrażniony)

Powiedziałeś, rzecz skończona, dziś jeszcze Elkę przeprowadzę do siebie...

HENRYK:

Przykro mi, ojczy, gdyż doprawdy Elka jest tak dobrem dzieckiem...

ZAKEŃCKI:

(czyszcząc rękawem kapelusza)

Skończone, skończone... Elka ma zawsze swój kąć u mnie... nie potrzebuje ci zawadzać...

HENRYK:

Najniesłuszniej...

ZAKEŃCKI:

Co to, panie, masz swoją rację i kwita...

(rozdrażniony)

Idziesz,

no i ten... kto na drodze... tego... Elka nie Elka...

HENRYK:

Gdybyś ojczy...

ZAKEŃCKI:

Nic, nic... Elka ma swój kąć... ma swój kąć...

(idzie ku salonowi)

Elka!... Elka!...

ELKA:

(z głębi salonu)

Jestem, tatusiu, jestem...

ZAKEŃCKI:

(mówi do Elki, stojąc na progu salonu, odwrócony do publiczności)

Zapakuj się, Elko, przeprowadzisz się do mnie, przyjadę po ciebie wieczorem...



(Elka wstaje i podchodzi do Zakęckiego)

ELKA:

Jakto, proszę tatusia?... dlaczego?...

ZAKĘCKI:

Tak trzeba, tak trzeba... żebyś nie zawadzała, moje dziecko, nie przeszkadzała...

(całuje ją pośpiesznie)

no, do widzenia, do widzenia!... Nic, nic, masz swój kąt, a najlepiej w swoim kącie, najlepiej!...

(całuje ją w czoło pośpiesznie i odwraca się ku Henrykowi)

Załatwione, załatwione!... Nie ma o czym mówić... a, to jutro wybory... życzę ci powodzenia...

HENRYK:

Ojczy, sprawiasz mi prawdziwą przykrość...

ZAKĘCKI:

Nie tłumacz się, masz rację, masz rację...

(z pasyą)

ideje, poglądy, dyabły, zasady... i ten w ostatku Elka... Do widzenia, pilno mi do tych, których najtęższe wasze argumenty nie przekonały, bo, choć pokieraszowani, a zipią!...

(Zakęcki wychodzi do salonu i stąd, odprowadzony przez Elkę, za scenę; słychać odgłos zamykanych drzwi).

ZAKĘCKI:

(za sceną)

Nic, moje kochanie... nic, zapakuj się tylko, przyjadę po ciebie...

SCENA II.

HENRYK i ELKA.

(Po odejściu Zakęckiego, Henryk przechadza się po scenie, natrafia na rzuconą przez siebie gazetę, rozprostowuje ją nerwowo, czyta ponownie urywek i ze złością mnie i rzuca na ziemię. Podczas tej sceny Elka wraca powoli z poza sceny, przechodzi przez salon i staje na progu).

ELKA:

O co poszło tatusiowi?...

HENRYK:

(zasiada przy biurku)

Ach, no jak zwykle... najzacniejszy pod słońcem człowiek... ale, jak mu się coś przewidzi...

ELKA:

Lecz dlaczegoż to mam się... wyprowadzić od was, Henryku?...

HENRYK:

No, widzisz, głupstwo, głupstwo!... Nie zrozumiał mnie... no i masz... słyszałaś!... A tu idzie poprostu, moja Elko, o... ten, no o to... że, jak wiesz, Mania wyjeżdża za parę dni... ja... mogę być zajęty, bo wszak jutro... wybory... no, a za miesiąc rozpoczyna się izba... no więc byłabyś u nas nadto osamotnioną...

ELKA:

Ach, lecz przecież u tatusia więcej...

(Elka wstaje i podchodzi do Zakęckiego)

ELKA:

Jakto, proszę tatusia?... dlaczego?...

ZAKĘCKI:

Tak trzeba, tak trzeba... żebyś nie zawadzała, moje dziecko, nie przeszkadzała...

(całuje ją pośpiesznie)

no, do widzenia, do widzenia!... Nic, nic, masz swój kąt, a najlepiej w swoim kącie, najlepiej!...

(całuje ją w czoło pośpiesznie i odwraca się ku Henrykowi)

Załatwione, załatwione!... Nie ma o czym mówić... a, to jutro wybory... życzę ci powodzenia...

HENRYK:

Ojcze, sprawiasz mi prawdziwą przykrość...

ZAKĘCKI:

Nie tłumacz się, masz rację, masz rację...

(z pasyą)

ideje, poglądy, dyabły, zasady... i ten w ostatku Elka... Do widzenia, pilno mi do tych, których najtęższe wasze argumenty nie przekonały, bo, choć pokieraszowani, a zipią!...

(Zakęcki wychodzi do salonu i stąd, odprowadzony przez Elkę, za scenę; słychać odgłos zamykanych drzwi).

ZAKĘCKI:

(za sceną)

Nic, moje kochanie... nic, zapakuj się tylko, przyjadę po ciebie...

SCENA II.

HENRYK i ELKA.

(Po odejściu Zakęckiego, Henryk przechadza się po scenie, natrafia na rzuconą przez siebie gazetę, rozprostowuje ją nerwowo, czyta ponownie urywek i ze złością mnie i rzuca na ziemię. Podczas tej sceny Elka wraca powoli z poza sceny, przechodzi przez salon i staje na progu).

ELKA:

O co poszło tatusiowi?...

HENRYK:

(zasiada przy biurku)

Ach, no jak zwykle... najzacniejszy pod słońcem człowiek... ale, jak mu się coś przewidzi...

ELKA:

Lecz dlaczegoż to mam się... wyprowadzić od was, Henryku?...

HENRYK:

No, widzisz, głupstwo, głupstwo!... Nie zrozumiał mnie... no i masz... słyszałaś!... A tu idzie poprostu, moja Elko, o... ten, no o to... że, jak wiesz, Mania wyjeżdża za parę dni... ja... mogę być zajęty, bo wszak jutro... wybory... no, a za miesiąc rozpoczyna się izba... no więc byłabyś u nas nadto osamotnioną...

ELKA:

Ach, lecz przecież u tatusia więcej...

HENRYK:  
Tak, ale wizyty u nas Alfreda Wintera... podczas  
nieobecności Mani...

ELKA:  
(pośpiesznie)  
Ustaną, niezawodnie ustaną...

HENRYK:  
(badawczo)  
Jakto, Elko, jakto... „ustaną“?...

ELKA:  
(pomieszana)  
A no tak... bo, bo pan Alfred... wyjeżdża... także  
wyjeżdża...

HENRYK:  
(j. w.)  
Nie rozumiem cię... „także wyjeżdża“, cóż to zna-  
czy „także“?...

ELKA:  
(pośpiesznie)  
No, nic... „także“... no bo takżel!... Pan Alfred wy-  
jeżdża zagranicę, bo miał oddawna wyjechać...

(śmiało)  
I nareszcie nie ma w tem nic dziwnego...

HENRYK:  
(trać czoło)  
Istotnie, no tak...  
(zaambarasowany)  
Chciałem ci przez to powiedzieć... że to nie zmie-

nia rzeczy, bo i ja sam, jeżeli mi tylko czas po-  
zwoli, zamierzam wyjechać... więc byłabyś skazaną  
na ten...

ELKA:  
(smutnie)  
Jeżeli życzysz sobie, Henryku... Myślałam, że prze-  
ciwnie, będę mogła być ci... użyteczną...

HENRYK:  
I jesteś, moja Elko, jesteś bardzo... i będziesz nią  
mogła być zawsze... naturalnie, o ile przyszła pani  
bankierowa i małżonka finansisty nie sprzeniewie-  
rzy się dzisiejszej Elce...

ELKA:  
(porywczo)  
Więc tobie się zdaje... że ja?... ja?...

HENRYK:  
(przerywa)  
Nie bierz mi tego za złe... ale pieniądz ludzi zmie-  
nia do niepoznania...

ELKA:  
(z wybuchem)  
Ależ... ależ, o czym ty mówisz!

HENRYK:  
Wszakże kochasz Alfreda?...

ELKA:  
Ja?... ja, Kocham Alfreda?...

HENRYK:

(znudzony)

No jakżesz!... Ostatecznie, nie ma w tem nic nadzwyczajnego... Przyznam ci się, że gdy mi tę nowinę zwiastowała Mania... nie bardzo byłem rad, ale, po namyśle...

ELKA:

Więc to Mania?... Mania powiedziała ci, że ja Kocham?

HENRYK:

A cóż w tem znów osobliwego? To nawet dobrze o tobie świadczy, że nie chcesz błyszczenia, że nie zbytek pociąga cię ku Alfredowi!... Ale tobie coś jest Elko!...

(wstaje i idzie ku Elce)

Może cię czem uraziłem? Daruj mi, Elko, wiesz, tyle mam na głowie... tyle... na głowie... Powiedz, Elko!...

ELKA:

(przychodząc do siebie, mówi nerwowo i szybko)

Mnie, mnie... mnie nic... zupełnie nic... tylko, że... ale, jeżeli sądzisz, że powinnam stąd... no to... wyprowadzę się... a cóż, u tatusia... będzie mi bardzo dobrze...

HENRYK:

Naturalnie, naturalnie...

ELKA:

(niespokojnie)

To i już... nie potrzebna ci będę... i nawet do... pisania?...

HENRYK:

Właśnie chciałem ci zaproponować, jeżelibyś chciała tymczasem... miejsce w administracji „Rozświtu“...

ELKA:

W administracji!... to dziękuję ci... wezmę dodatkowe lekcje w „analfabetyzmie“ i będzie... bardzo dobrze...

(z żalem)

I... i... może już nie kończyć... tych list podko... podkoko... kokomitetowych...

HENRYK:

Skończ, Elko... proszę cię, ale... bo...

ELKA:

(zawraca szybko w głąb salonu i zasiada z hałasem za stolikiem)  
To... dobrze... to ja zaraz już... zaraz skończę...

(Henryk patrzy ku Elce, zaczem zawraca ociężale, spogląda na zegarek, idzie do biurka, układa papiery w torbie).

HENRYK:

(mówi głośno w stronę salonu)

Elko... gdyby tu przyszła ta Łabudzińska... to zwróć jej rękopisy i niech sobie idzie na cztery wiatry... powiedz jej zresztą, co ci się podoba...

ELKA:

(z głębi)

Dobrze!...

HENRYK:

Czy Mania nie mówiła, kiedy wróci?...

ELKA:

Nie...

(Henryk spogląda na zegarek, za sceną słychać dzwonek, Elka w głębi salonu podnosi się z poza stolika, i wychodzi, po chwili, słychać przytłumiony odgłos krótkiej rozmowy, zatuszowany zupełnie, no i trzask otwieranych i zamykanych drzwi — po pauzie Elka wraca i wchodzi na scenę).

ELKA:

Depesza...

HENRYK:

(podchodzi szybko do Elki)

Nareszcie... a no nareszcie... dajże ją!...

(spogląda na adres)

Wyczekuję,

jak zbawienia... jak zbawienia...

(rozrywa depeszę, rzuca okiem, ręce zaczynają mu drżeć, rozpatruje depeszę po raz wtóry)

To nie może być!

to straszne!... to... okropne...

ELKA:

(niespokojna)

Henryku, co tobie...

HENRYK:

Przepadło... wszystko przepadło... wszystko, wszystko!...

ELKA:

Henryku... co się stało, na Boga!...

HENRYK:

Strach, strach... pomyśleć... związek międzynaro-

dowy odmawia nam pieniędzy... odmawia w ostatniej chwili!... zadaje nam śmiertelny cios na progu zwycięstwa!...

ELKA:

Ależ, Henryku, wszak to jutro wybory... sam mówiłeś, iż byle do jutra wytrwać, to nawet choćby strejk ustał...

HENRYK:

(wzburzony)

No mówiłem, mówiłem... lecz nasi są w ostatniej nędzy... Remler zaś kusi ich, że jeżeli od jutra staną do roboty, to da im zaliczki... bo zresztą nic, nic... im nie obiecuje!... O niczem nie chce słyszeć! Agitatorzy narodowi w dodatku... Lecz najważniejsze, nędza, rozumiesz, nie mają co jeść!... W kasie ani grosza... Dałem im słowo, że dziś... Związek przyrzekał uroczyście... Co im powiem... co im powiem... mają tu być dzisiaj...

ELKA:

Wytłumaczysz im, przedłożysz, toć już o dnie chodzi, o godziny prawie... toć ufają ci ślepo!...

HENRYK:

(z goryczą)

Ufają! Chcesz powiedzieć, ufali!... Te nieustanne kalumnie, rozgłaszane o mnie... nie pozostały bez wpływu... a najwięcej podobno przyczyniło się to zajście u Wintera... to że przecież!... Lecz co tu mówić, klęska, klęska!...

ELKA:

(żywo)

Henryku, ale nie wolno ci rąk opuszczać! Klęska nie jest jeszcze przegrana! Pozwól, wszak macie pośród was także i przyjaciół miennych! Idź, odwołaj się... a gdyby i ci...

(z zapalem)

to staw czoło... bo ledz nawet na polu walki, to nie znaczy jeszcze... być zwyciężonym!...

HENRYK:

(pogląda z rozradowaniem na Elkę)

Tak, tak, Elko,... dzielnie mówisz, tak trzeba!... Poruszę niebo i ziemię, a jeżeli, to zaklnę ich!... Tak, Elko, bo sprawa nasza, to dobra sprawa, bo to sprawa kroci, bo to sprawa bezdomnych tłumów, jęczących w wampirowym uścisku kapitalizmu!...

(słychać kołatanie do drzwi po prawej stronie sceny)

ELKA:

Ktoś stuka..

HENRYK:

(pomieszany, przyciszonym głosem)

To... oni... Czekaj, ja muszę na miasto... powiesz, że mnie nie ma...

(patrzy na zegarek)

Choć to na nich zawczasie... Powiedz, że będę za godzinę...

(stukanie się powtarza)

Bo może uda mi się skąd wy dostać pieniędzy...

(Henryk zabiera portfel z biurka)

ELKA:

Ale... bo słyszeli niezawodnie twój głos...

HENRYK:

(który już zmierzał do wyjścia, zatrzymuje się)

No, kiedy muszę... muszę...

ELKA:

Czekaj, wyjrzę przez okno na kurytarzu...

(stukanie do drzwi powtarza się)

(Elka wychodzi szybko do salonu, stąd na prawo, za kulisę, i wraca natychmiast. Henryk stoi z portfelem w ręku).

ELKA:

(półgłosem)

Ee... to jakiś młody robotnik... tylko...

HENRYK:

A to czekaj, odprawię go...

(Elka cofa się do salonu).

### SCENA III.

HENRYK, MICHAŁ KALECIŃSKI i ELKA w salonie.

UWAGA: Elka winna siedzieć tak, żeby ją ledwie było widać z poza kulisy.

HENRYK:

(kładzie na biurku portfel i idzie roztworzyć drzwi na prawo, kołatanie się powtarza)

Zaraz... zaraz...

(otwiera drzwi)

a... a... towarzysz Kaleciński...  
(Kaleciński wchodzi nieśmiało, kłania się niezgrabnie. Kaleciński  
w wyszarzanem ubraniu, twarz wymizerowana)

Proszę, proszę... niech, towarzysz, pozwoli.. proszę  
siadać...

KALECIŃSKI:

(przysiada się na rogu krzesła, Henryk stoi)

A bo to... a bo to, proszę pana komitetowego...  
przychodzę do pana po sprawiedliwość...

HENRYK:

(łagodnie)

Cóż takiego?... No śmiało, śmiało...

KALECIŃSKI:

A bo... co do pana Zbiświcza to ja... nie mogę...

HENRYK:

Czego nie możesz, towarzyszu?... bo nie wiem,  
o czym...

KALECIŃSKI:

Nie mogę... nie, nie mogę... pan Zbiświcz do chrztu  
mnie trzymał... to ja panu komitetowemu odnoszę...  
(wstaje, kładzie na biurku Henryka brauning, zaczem wyjmuje  
kartkę z kieszeni i kładzie ją obok rewolweru)

HENRYK:

(ze zdumieniem)

Ależ, co ma znaczyć?...

KALECIŃSKI:

(wystraszony)

Ja nikomu o tem, proszę pana komitetowego, ja

dotąd wszystko, co mi kazali... nawet i to chcia-  
łem... ale... gdym go spotkał... to on do mnie...  
i ten... i powiada niech matka przyjdzie po chleb...

(cicho)

Kupił mnie... proszę pana komitetowego, prawdzi-  
wie kupił... Ale bo od śmierci starego, bieda, panie...  
okrutna bieda... Felek to już aby, aby...

HENRYK:

Ależ, człowieku, co ty pleciesz... no siadaj, siadaj...  
mów spokojnie... więc co? co?

KALECIŃSKI:

A no kazali zgasić...

(w salonie rozlega się szurgnięcie krzeselkiem)

HENRYK:

Zgasić?

KALECIŃSKI:

Ano tak, dali wyrok i powiadają, zgasisz pana Zbi-  
świcza...

HENRYK:

(wzburzony)

Kto ci dał?...

KALECIŃSKI:

(wskazuje na stół)

A no właśnie... bojówka... proszę pana...

HENRYK:

(chwyta za kartkę)

Ależ to... zabójstwo... to zbrodnia... Bardzo dobrze,

bardzo dobrze uczyniłeś, mój towarzyszu... Masz to od Zeltnera?...

KALECIŃSKI:

To jest... tylko, bo żeby się nie mścili, proszę pana, bo... jak matkę kocham, proszę pana komitetowego... każdego innego... byle... nie tego...

HENRYK:

Bądź spokojny, masz mnie za sobą... Ja się z nimi rozmówię, bo to za daleko trochę... walka... może doprowadzić do jakiegoś smutnego starcia... ale skrytobójstwo uplanowane... Dziękuję ci, towarzyszu, postąpiłeś zacnie... krew Zbiświcza zaciężyłaby... kamieniem... na... naszej sprawie...  
(Henryk podaje rękę Kalecińskiemu, ten potrząsa nią z przejęciem).

KALECIŃSKI:

Jak matkę kocham, proszę pana komitetowego... jak tylko będzie trzeba jakiego burżuja...

HENRYK:

(szuka po kieszeniach)

Żadnego nie trzeba, żadnego!... Ale, bo u was bieda... czekaj... a bo chciałbym...

(zaambarasowany, że nie znajduje)

chciałbym... bardzo...

(Elka porusza się w salonie i zbliża nieco do wejścia na scenę)

ELKA:

(nieśmiało)

Henryku, pozwól... pozwól...

HENRYK:

(zafrasowany)

Zaraz, towarzyszu...

(idzie do Elki)

(Następuje krótka certacya Henryka z Elką, Henryk wraca, chowając rękę do kieszeni, zbliża się do Kalecińskiego i wyciąga tę samą rękę)

HENRYK:

Mój towarzyszu... u was bieda w domu... pozwól... na tymczasem...

(Henryk podaje trzyrubłówkę Kalecińskiemu, ten ostatni bierze niepewnie).

KALECIŃSKI:

Ale bo, jakże...

HENRYK:

Nic, głupstwo... policzymy się... a teraz bywajcie mi, muszę na miasto!...

(Kaleciński kłania się, potrząsa z przejęciem ręką Henryka i wychodzi na prawo, Henryk odprowadza go i drzwi za nim zamyka).

KALECIŃSKI:

(mówi za progiem)

A jak by trzeba było kogo zgasić...

HENRYK:

Nie trzeba... wybijcie sobie z głowy... do widzenia, do widzenia...

(Henryk zaferowany, idzie do biurka, chowa kartkę porzuconą do kieszeni od kamizelki, rewolwer wsuwa między papiery i mówi podczas tego)



HENRYK:

Elko, daj mi palto i kapelusz!...

(Elka w głębi salonu podnosi się, wychodzi za kulisę i wchodzi przez salon na scenę z paltotem i kapeluszem).

HENRYK:

(ubiera się)

Dziękuję ci... Słyszałaś... ładna historia... ten Zeltner oszalał... wydali wyrok śmierci na wuja... bo i, pomijając nawet wszystkie względy... to nierozsądek... to podniecanie przeciwko nam opinii... mnożenie nam wrogów. Ale ja z nimi zrobię porządek... tego jeszcze brakowało... zresztą nawet terror ma swoje granice... Ale, ale... moja Elko... idziesz na lekcję?

ELKA:

Za pół godziny...

HENRYK:

No to powiedz... jak przyjdą komitetowi... niech zaczekają...

(Henryk idzie ku drzwiom na prawo, Elka odprowadza go).

ELKA:

Dobrze...

HENRYK:

A zatrzymaj ich koniecznie!...

ELKA, potem ALFRED WINTER.

(Elka, po odejściu Henryka, idzie z pochyloną głową ku środkowi sceny, zaczem osuwa się ocieźale na najbliższe krzesło, na twarzy Elki maluje się ból i niepokój. Po pauzie słychać dzwonek za sceną. Elka porusza się niespokojnie).

GŁOS KATARZYNY ZA SCENĄ:

Aby panienska sama...

GŁOS ALFREDA ZA SCENĄ:

A to nic nieszkodzi...

(Elka, na dźwięk głosu Alfreda, zrywa się z krzesła, na twarzy Elki rysuje się gniew).

ALFRED:

(wchodzi przez salon, Elka ledwie odwraca się)

Moje uszanowanie pani...

(podaje rękę)

ELKA:

(zimno)

Moje uszanowanie...

ALFRED:

Doprawdy nie uwierzy, pani, jak bardzo rad jestem tej szczęśliwej myśli, która mnie natchnęła, aby wstąpić do państwa... o mniej oficjalnej porze...

ELKA:

(zimno, wskazując na krzesło)

Proszę...

(siada na prawo)

ALFRED:

(siada w pobliżu)

Bo istotnie... tak się składa niefortunnie, że... że...  
nie mam sposobności... pomówienia z panią...

ELKA:

(głucho)

Czy pan miał mi co do powiedzenia?...

ALFRED:

(zakłopotany)

Ależ, naturalnie... niejednokrotnie...

ELKA:

Proszę, słucham...

ALFRED:

Mam niezawodnie bardzo wiele do powiedzenia...  
i nie tyle do powiedzenia... ile do wyjaśnienia...  
gdyż nie chciałbym, aby pani w mojem... zachowa-  
waniu się...

(Elka patrzy badawczo na Alfreda, ten zakłopotany coraz więcej)  
upatrywała... czegoś, co nie istnieje...

ELKA:

(mówi powoli, półgłosem)

Może pan być spokojnym... nie upatrywałam nigdy...

ALFRED:

(rażno)

I słusznie, niekiedy pozory... są tą fatalnością...  
która niweczy najczystsze zamiary, która rzuca  
cień na...

ELKA:

(przerywając)

Pan pozwoli, że skończę...

(ściąga szybko pierścioneł i podaje Alfredowi)

Proszę!...

ALFRED:

(poruszony)

Panno Elko... jak mam to... uważać?...

ELKA:

(spokojnie)

Zwyczajnie... zwracam...

ALFRED:

Nie wiem... czemu to mam przypisać...

ELKA:

(poważnie)

Panie Alfredzie, niech pan zapomni na chwilę o roli  
mężczyzny...

ALFRED:

Dziwny, niewytłumaczony dla mnie...

ELKA:

(żywo)

Nie, prosty i jasny... Wszak tu nie może być mowy  
o niespodziance, wszak pan wie, że inaczej być nie  
może, że inaczej być nie powinno... Rozchodzimy  
się, choć i nie zesłiśmy się... zrywamy, i tylko to,  
co nie było nigdy nawiązanem!... Pan wraca do  
swych upodobań, a ja trwam dalej przy moim  
analfabetyzmie...

ALFRED:

Więc fanatyczna partyjność unosi panią aż tak daleko, że tego, kto nie bije pokłonów przed Engelsem, kto nie żywi...

ELKA:

(wstaje gwałtownie)

Panie Alfredzie, nie zasłużyłam sobie na podobne żarty!...

ALFRED:

(wstaje)

Mówię poważnie, nie żądałem nigdy, aby pani wyrzekała się dla mnie któregośkolwiek ze swych najskrajniejszych poglądów... przeciwnie, łudziłem się właśnie, że ta różnica przekonań będzie stanowiła...

ELKA:

(przerywa i mówi z mocą)

Panie Alfredzie, na co te puste słowa... Nie jestem ociemniałą, nie upatruję, jak pan mówił, lecz widzę... widzę to, co się wokół mnie dzieje, widzę to wyraźniej, iż żadna zapamiętałość nie mroczy mi spojrzenia... widzę nareszcie to, co widzą wszyscy, patrzący z bliska, a czego podobno... jeden Henryk nie spostrzega...

ALFRED:

Panno Elko, panno Elko, co pani mówi!...

ELKA:

Prawdę...

ALFRED:

(z uczuciem)

Panno Elko, niech mnie pani nie potępia...

ELKA:

(spokojnie)

Nie mówmy o tem, szło mi o wyjaśnienie... a jeżeli sięgnęłam za daleko, to dlatego, iżby pan nie domyślał się, nie stwarzał przyczyn...

ALFRED:

A gdybym przyznał się do winy, a gdybym upokorzył się, gdybym śmiał roić, iż to zapomnienie się, to szaleństwo dziecinne...

ELKA:

To niczy to nie wpłynęło na zmianę mego postanowienia...

ALFRED:

Więc żadnej nadziei przebaczenia, żadnego prawa do rehabilitacji?...

ELKA:

Nie mam nic do przebaczenia...

ALFRED:

A przecież przyjmując mnie, jako starającego się, jako narzeczonego!...

ELKA:

Dałam się unieść fantazyi, powiem szczerze, zdawało mi się, że pańskie bogactwa otworzą mi naścieżaj jakieś niezmiernie pole pracy społecznej...

zdawało mi się, iż, w ten sposób, ocalę miliony od nędzy, że krocie dobędę z mroku, że podjąć zdolam jakieś syzyfowe zadania... które wypełnią mi życie... Tak, panie Alfredzie, przyznaję, powodowały mną pańskie pieniądze...

ALFRED:

Dziś gardzi pani nawet nimi...

ELKA:

Dziś widzę, że ta mrzonka przyniosła nieszczęście... moim najbliższym... dziś, widzę, że stała się klęską, bo ugodziła w Henryka... bo zawisała nad nim w chwili, gdy tylko dom, tylko pogoda i rodzinnego życia może mu dać siły na przetrwanie tego, co mu grozi...

ALFRED:

Przysięgam pani... oddalę się, wyjadę... natychmiast, zniweczę wszelki cień...

ELKA:

Ale miłości w sercu Maryi dla Henryka pan nie wszczepił!... Nie potępiał jej, nikogo nie potępiał... ma swoją wolę... Wyznaję zasady bezwzględnej swobody, lecz wolałabym, aby Marya w tym razie była wsteczniczką... aby była zacofaną... burżujką...

ALFRED:

Z całego serca boleję panno Elko... lecz gdyby pani...

ELKA:

Cóż ja mogę?... Czytuje pan zapewne wrogie nam

dzienniki, nie ma dnia, żeby nie czyniono aluzji do stosunku Henryka do nazwiska Winterów... aluzje te potęgują się!... Czy w stanowczej chwili starczy Henrykowi ducha, aby niemi pogardzić?... Pan wyjeżdża?... Marya wyjeżdża także!

ALFRED:

Wyjadę z ojcem...

ELKA:

Nie zatrzyma jej to... przy Henryku!...

ALFRED:

Panno Elko, proszę wierzyć, gotów jestem uczynić wszystko, byle choć w części zło naprawić, byle choć na słowo przyjaźniejsze zasłużyć u pani... Rozporządzaj pani mną, uczynię, co w mej mocy...

ELKA:

(po pauzie)

Posłuchaj pan, mam najgorsze przeczucia... strejk grozi upadkiem... wzburzenie między robotnikami wzrasta, w kasie nie ma ani grosza... partya terroru zaczyna występować wprost przeciwko Henrykowi... ten, nie mogąc załagodzić głodu, traci wpływ... Remler, na czele syndykatu fabrykantów, ani słuchać chce o żadnych ustępstwach... ziemia z pod nóg usuwa się Henrykowi...

ALFRED:

Wiem o tem, akcye poszły dziś w górę... związek międzynarodowy odmówił zapomogi...

ELKA:

Pan już wie?... może już dzienniki?...

ALFRED:

Nie, panno Elko, dzienniki mogą to ogłosić za dwa dni... Pani obawy są słuszne... strejk jest na schyłku... i poniesie porażkę, bo wszystkie pojednawcze kroki mego ojca... zostały przez fabrykantów odrzucone, choć przed tygodniem godzili się na nie... no i bo giełda zagraniczna niema interesu podtrzymywać dłużej bezrobocia...

ELKA:

(gorączkowo)

Jutro wybory... Henryk ma wszelkie dane... byle dziś, byle dziś... Zostanie posłem, więc strejkowa przegrana nie złamie go, nowe, szersze horyzonty staną dlań otworem, nie dadzą mu poddać się, nie pozwolą ugiąć...

ALFRED:

Rozumiem, lecz cóż ja w tym wypadku...

ELKA:

Panie Alfredzie... potrzeba pieniędzy!... Niewiem ile... potrzeba dużo, bardzo dużo... Panie, oni dziś tu mają przyjść... Henryk szuka po mieście... lecz ja wątpię!... Ci, coby chcieli, nie mają... Miasto opustoszałe, bogatsi wyjechali... Na sympatyków liczyć niepodobna... Panie Alfredzie, jeżeli sumienie powiada ci, że zawiniłeś... jeżeli żal twój jest szczerym, to ratuj Henryka, uchron go bodaj od tego ciosu...

ALFRED:

(poruszony)

Panno Elko, uważam to sobie za łaskę... Jakiej sumy potrzebuje pan Henryk?

ELKA:

Spodziewał się dziesięciu tysięcy...

ALFRED:

Mam w tej chwili w domu dwa, przyślę je natychmiast... resztę dostarczę na wieczór...

ELKA:

Panie Alfredzie, tu każda minuta waży...

ALFRED:

(patrzy na zegarek)

Dochodzi czwarta, banki już zamknięte... ale... niech pani będzie spokojną, zaraz dwa... a ośm, jak tylko będę mógł najprędzej...

(Za sceną słychać dzwonek)

GŁOS KATARZYNY ZA SCENĄ:

Pan Alfred Winter, proszę pani...

ELKA:

To Marya!...

ALFRED:

A więc, odchodzę.

ELKA:

Lecz może dobrze byłoby, gdyby pan z Maryą...

ALFRED:

Nie, niech pani mi się nie dziwi... wolę napisać, a przytem sama pani mówiła, że nie ma minuty do stracenia...

ELKA:

Ma pan słuszność.

ALFRED:

Pieniądze nadeślę pod pani adresem...

ELKA:

Nie, lepiej wprost do Henryka... niech pan napisze doń kilka słów... że, dowiedziawszy się o nędzy, panującej między robotnikami, przesyłasz do jego uznania... tak będzie lepiej... nie powinien domyślać się niczyjego pośrednictwa...

ALFRED:

Uczynię, jak pani każe, a teraz, czy wolno mi mieć nadzieję...

ELKA:

Panie Alfredzie, jest pan człowiekiem, trzeźwo pojmującym życie...

ALFRED:

Odchodzę, panno Elko, odchodzę... i ufam, że mi wolno będzie wrócić...

(Alfred całuje Elkę w rękę i wychodzi przez salon za kulisę. Elka zastanawia się i idzie ku drzwiom na lewo. W tej samej chwili wchodzi przez lewe drzwi Marya).

SCENA V.

ELKA i MARYA.

MARYA:

(wchodząc, rozgląda się)

A!... mówiła mi Katarzyna... że jest pan Alfred?...

ELKA:

Wyszedł dopiero co...

MARYA:

Jakże, bo, kiedy w tej chwili...

ELKA:

(obojętnie)

Wyszedł...

MARYA:

Idziesz na lekcję?

ELKA:

Jeszcze nie...

(Elka wychodzi na lewo, po pauzie wraca, przechodzi przez scenę i siada w głębi salonu. Marya podczas okazuje zdenerwowanie).

MARYA:

(do przechodzącej Elki)

Skądże zjawił się tak niespodziewanie?

ELKA:

(przystaje)

Kto?

MARYA:  
(niecierpliwie)  
No, Alfred!...

ELKA:  
(obojętnie)  
Nie wiem...  
(wychodzi)

MARYA:  
Masz dziwny sposób odpowiadania...

ELKA:  
(z salonu)  
Zdaje ci się...

MARYA:  
Pytam się... bo wypadło, abym mu powiedziała  
bodaż do widzenia... dziś przecież wyjeżdżam no-  
cym kurierem...

ELKA:  
(podnosi się z krzesła w salonie i nadchodzi na przód sceny)  
Jakto, więc ty dziś... dziś chcesz już?...

MARYA:  
Naturalnie, nie mogę przecież jechać do Nicei po  
sezonie! Sprzedałam właśnie pejzaż...

ELKA:  
Lecz jutro wybory do izby... jutro rozstrzygający  
dzień dla Henryka...

MARYA:  
No, no... co w to, to nie wierzę... Dziś znów sły-

szałam na mieście... Henryk nawet nie może liczyć  
na swoich „towarzyszów“...

ELKA:  
Więc właśnie twoim obowiązkiem jest być przy  
nim...

MARYA:  
Moim obowiązkiem?... Także znalazłaś sobie dla  
mnie obowiązek... chyba palenia się ze wstydu!...  
Byłam przekonaną, że to się tak skończy, naraził  
się całemu światu, ze wszystkimi zadarł... Na oczy  
się nie mogę pokazać ludziom...

ELKA:  
I to z powodu Henryka?...

MARYA:  
A... a... naturalnie... że z jego powodu...  
(słysząc kołatanie do drzwi z prawej)  
O masz... wizyta! goście!... Miłe otoczenie!...

(Elka idzie otworzyć drzwi)  
Powiedz, że go nie ma w domu i skończone...  
Niech chociaż na wyjeździe mam spokój w domu...

ELKA:  
Nie... Henryk kazał, aby czekali na niego...  
(Elka otwiera, wchodzi Zeltner, Rymsza, Cichejko, Wałowicz,  
Szturman i trzech robotników. Robotnicy nie w bluzach, „nie-  
okopieni“, twarze i ręce czyste, postacie wynędzniałe).

SCENA VI.

MARYA, ELKA, ZELTNER, RYMSZA, WAŁOWICZ,  
CICHEJKO, SZTURMAN i TRZECH ROBOTNIKÓW.

(Wchodzą hurmem w kapeluszach i czapkach, które ledwie pod koniec następnej sceny zdejmują. Zeltner i Cichejko na przedzie).

ZELTNER:

(wchodząc)

Dzień dobry panience... jest szwagier?...

ELKA:

Dzień dobry panom, proszę, zaraz powinien nadejść...

(Marya podczas tego zaczyna zasuwając nerwowo firankę u wejścia do salonu, Elka wskazuje krzesła).

ELKA:

Proszę, niech panowie siadają!... Niech panowie siadają!...

(Rymsza, Wałowicz, Szturman i Robotnicy sadowią się na prawo, Cichejko idzie ku Maryi, która, skończywszy zasuwając firankę, zmierza ku drzwiom).

CICHEJKO:

A, jak się pani ma!...

MARYA:

(odchodząc)

A... witam!...

(wychodzi).

(Cichejko spogląda szyderczo za odchodzącą).

ELKA:

(do Zeltnera)

Proszę, tu są papierosy...

ZELTNER:

No, dziękuję... Ale, bo to może długo?... bo tam gromada naszych... wyczekuje naszego powrotu!...

ELKA:

Powiedział, że wróci lada moment, prosił, żeby panowie koniecznie się zatrzymali!...

RYMSZA:

Co tu gadać... trza czekać...

WAŁOWICZ, SZTURMAN i ROBOTNICY:

(razem)

A no pewnie! Pewnie!...

(Elka wychodzi do salonu, uchylając nieco zapuszczoną firankę i następnie, poprawiając z drugiej strony, aby szczerze osłaniała perspektywę na salon).

SCENA VII.

ZELTNER, CICHEJKO, WAŁOWICZ, SZTURMAN,  
RYMSZA i TRZEJ ROBOTNICY.

(Cichejko chodzi po scenie i rozgląda się, Zeltner stoi między biurkiem i grupą pozostałych osób).

RYMSZA:

Czekajcie-no, Zeltner... gdzie są te papierosy!?...



(Zeltner bierze pudełko z biurka i podaje)

ZELTNER:

A no, macie...

RYMSZA:

(biorąc papierosa)

Phi, to jakieś tęgie!...

WAŁOWICZ:

Pokażcie-no mnie!...

SZTURMAN:

A no to i mnie!...

(Zapalają papierosy zapalką Rymszy, pudełko idzie do robotników).

I. ROBOTNIK:

Nie palę...

II. ROBOTNIK:

Ani ja...

III. ROBOTNIK:

Ał, no dajcie...

RYMSZA:

A co, dobrze sobie żyje!...

ZELTNER:

O... i jakbyś wiedział...

CICHEJKO:

(zagląda za firankę do salonu i odwraca się do Zeltnera i mówi półgłosem)

Zeltner, Zeltner, a widziałeś-że ty, jakie ci tu pańskie szyki!...

ZELTNER:

(idzie ku firance i zagląda)

A niechże go!... A co, nie gadałem wam!...

(Za Zeltnerem nadchodzą pozostali. Oznaki zdumienia).

CICHEJKO:

(mówi w głąb salonu, podczas gdy wychyla się za firankę po raz drugi za Zeltnerem)

Przepraszam panienkę, my tylko tak... aby spojrzeć na sajety towarzysza...

ZELTNER:

(do Cichejki)

Daj pokój, powiadam wam, że dla mnie szkoda gęby... burżuj w nim siedzi pod skórą!... Naszymi garściami chciałby sobie kasztany wygrzebywać!...

WAŁOWICZ:

A nie, tak nie można... on z nami... zawsze z nami siedł...

ZELTNER:

Zobaczycie, czy pójdzie dalej... bo ja jemu baki świecić nie myślę... ja mu do oczu wygadam!

SZTURMAN:

Kiedy, widzisz, Zeltner...

ZELTNER:

(ze złością)

A co on będzie mi się do bojówki wtrącał? Ludzi bałamucił...

WAŁOWICZ:

Zajechaliście...

CICHEJKO:

Zeltner ma rację...

SZTURMAN:

Dobrego chce... a że tam, no, to przecież nic się nie stało... Co byśmy bez niego robili?...

ZELTNER:

Nie łazilibyśmy, jak błędne owce... a jakbyśmy zdychali z głodu, no to wszyscy...

(Robotnicy rozmawiają na uboczu).

WAŁOWICZ:

Nie wydziwialiście, on nas trzyma...

CICHEJKO:

Wczoraj miał już pieniądze wypłacić!...

SZTURMAN:

No, a wypłaci dziś.

ZELTNER:

A jak nie wypłaci, jak znów odwlecze do jutra?!...

I. ROBOTNIK:

(podsuwa się zaniepokojony)

Jakto, nie wypłaci! Przecie mówiliście po rewirach, że dziś!?

ZELTNER:

(szyderczo, wskazując głową na I. Robotnika)

Co, słyszycie go?... Już mu się szczyrzy zaliczka u Remlera...

I. ROBOTNIK:

A co, chcielibyście, abym kamieniami dzieciaków nakarmił?...

(Drzwi z prawej otwierają się gwałtownie, wchodzi Henryk. Twarz biała, ruchy niespokojne).

II. i III. ROBOTNIK:

(ujmując się)

A bo tak! Sprawiedliwie!

SCENA VIII.

ZELTNER, CICHEJKO, WAŁOWICZ, SZTURMAN,  
RYMSZA, TRZEJ ROBOTNICY i HENRYK.

HENRYK:

(wchodząc)

A, panowie... towarzysze!... Witam was, witam!!...  
Czekaliście na mnie, czekali!... Stokrotnie was przepraszam!

(wita się nerwowo)

Ale tak mi wypadło! Tak mi wypadło!

(zrzuca pośpiesznie palto i kładzie na krzeselku, z lewej)

No, siadajcież! Siadajcież!...

(Rymsza, Wałowicz, Szturman i robotnicy grupują się na prawo, Zeltner i Cichejko nieco wysunięci ku środkowi sceny).

HENRYK:

(staje za biurkiem i z wysiłkiem zabiera się do przemówienia, na scenie głuza. po pauzie zaczyna mówić z wybuchem)

Towarzysze!... Już oto szósty tydzień mija, jak, podjąwszy walkę o prawa proletariatu robotniczego, trwamy nieugięci, niezachwiani w naszym szczerym postanowieniu, już szósty tydzień mija, jak stawimy czoło najprzebieglejszym atakom rozwścieczonego kapitalizmu!... I nic nas dotąd nie zdołało zmódrzyć, nic nami zachwiać... Silni jednością, zbrojni wiarą w nasze hasła... jesteśmy, jak owa chmura piorunami brzemienista, zawieszona pod firmamentem, jesteśmy, jak owa fala spiętrzona...

(oddycha ciężko)

Towarzysze...

CICHEJKO:

(ponuro)

No, ja pana przepraszam!... Ale dla nas najważniejsze, czy są pieniądze, czy nie!...

GŁOSY:

Ano, racya! To najpierwsze!

HENRYK:

(pomięszany)

Istotnie, tak, zupełnie... zgadzam się!...

(wpada nerwowo w patos)

Zgadzam się, towarzysze, pojmuję wasz niepokój... boć walka, prowadzona przez nas, dosięga i naszych ognisk, boć walka ta ogarnia...

CICHEJKO:

(przerywa)

Więc niechże pan powie nareszcie, co jest!...

HENRYK:

Chcę właśnie, towarzysze!... Nowina, którą mam dla was, nie jest pomyślną, lecz odwołuję się... do waszego hartu, którego tyle złożyliście dowodów, odwołuję się... do waszego charakteru...

ZELTNER:

Krótko mówiąc... niema pieniędzy!...

HENRYK:

(cicho)

Związek międzynarodowy zawiódł...

(Pomruk i poruszenie ogólne).

ZELTNER:

Cha, cha... a co, nie mówiłem wam!...

RYMSZA:

Tam gromady czekają!

ROBOTNIK I:

To nie może być!

WAŁOWICZ:

Na co było zawracać!

SZTURMAN:

Kawały jakieś!

ROBOTNIK II:  
Strejk djabli wzięli!

ROBOTNIK III:  
To ci heca!

HENRYK:  
(chcąc zapanować nad tumultem)  
Towarzysze, towarzysze... zaklinam was!!

CICHEJKO:  
(szydlerczo)  
No, nie męcz się pan tak, panie Chwilecki...  
(Pomruk potakujący).

SCENA IX.

CIŻ SAMI i ELKA.

ELKA:  
(wchodzi szybko przez wejście do salonu i zwraca się do Henryka, Henryk na widok Elki wpada w rozdrażnienie)  
Henryku... pozwól... jedno słowo...

HENRYK:  
Wyjdź stąd natychmiast...

ELKA:  
Bo nie wiesz... pozwól... właśnie Winter...

HENRYK:  
Dosyć... odejdz...  
(odwraca się od Elki)  
Towarzysze, nie poddawajcie się!

Wiadomość ta spadła na mnie niespodziewanie... zamiast przekazu otrzymałem odmowę, lecz dajcie mi czas do jutra... dziś może jeszcze...

ELKA:  
(za Henrykiem)  
Tak dziś, dziś...

ZELTNER:  
Słyszycie, nawet panna nam obiecuje... a to śmiechu warte...  
(Pomruk, Elka wychodzi).

HENRYK:  
Zastanówcie się towarzysze, jeżeli nie wytrwamy, jeżeli damy się złamać temu jednemu niepowodzeniu... to znaczy, że dobrowolnie pójdziemy na dno... u brzegu! Słyszycie, u brzegu!...

CICHEJKO:  
Co się pan tak męczysz! Nie ma pieniędzy i kwita!

HENRYK:  
Przyrzekam wam, że z pod ziemi dobędę..

ZELTNER:  
Przyrzekałeś już i tydzień temu... No, ale my sobie i bez pana damy rady...  
(poruszenie).

A no damy sobie... ja wam powiadam... a od czego bojówka, od parady? Bojówka poszuka...

HENRYK:

Panie Zeltner, nie mówcie tak... tak nie godzi nam się mówić!

ZELTNER:

A pan myślisz, że co?... że będziemy z głodu zdychali, czy przyglądali się, jak nam jeden łamistrajk za drugim będzie Remlerowi się przymilał!... Żeby nie pan, panie Chwilecki, toby do takiej chryi nie przyszło!... Tu na ostre trzeba... a pan co? Cóżś to nagadał temu... temu Kalecińskiemu?! Żal ci było familianta?... Tobie wszystkiego żal, tylko ci nie żal robociarzy!... Z tym byś chciał i z tamtym byś chciał...

HENRYK:

Panie Zeltner... zapominasz pan, że dobro...

ZELTNER:

Właśnie, że pamiętam... No, przypomnij no sobie pan sam, cóżeś to wygadywał? Panżeś uczony... no ale ja, moim samouckim rozumem, ostrzegąłem pana... nie obiecywać cudów, po gospodarsku gadać!... I co! Przegadałeś i mnie, a wygadałeś tyle, że, zanim ci się robociarz spostrzegł, na jakiego hrabiego wyrósł, to mu już i boki pozapadały...

GŁOSY POMIESZANE:

A co! A nie inaczej!...

HENRYK:

Towarzysze, rozwagi i krwi zimnej! Nasza sprawa

jest świętą sprawą... jutro ma na imię proletaryat! Nie poddawajcie się zwątpieniu, nie ulegajcie podszeptowi, który mógłby was pchnąć na drogę...

CICHEJKO:

Czego pan się tak męczysz!

ZELTNER:

Jaka znów droga?... Co za droga?!... Ruszyliśmy z miejsca, no i pójdziemy, rozumiesz pan! Cóż to, zdawało ci się, że jak ty powiesz stać, to tłum cię usłucha?!... Tobie dobrze rezonować... kiedy masz sam co do garnka włożyć...

(pomruk potakujący)

HENRYK:

Panie Zeltner, ciężkie twoje słowa, składam je na karb tego umiłowania, któreś zawsze dla sprawy okazywał... jednak zechciej i to zapamiętać, że i ja jestem jej oddanym, że i ja pragnę zwycięstwa...

CICHEJKO:

I chcesz zostać posłem...

HENRYK:

(dumnie)

Chciałem nim być, ileżem tem dzielniej pragnąłem walczyć... ale, jeżeli was, towarzysze, ogarnia zwątpienie... gotów jestem zrzec się mandatu...

CICHEJKO:

Nie masz się pan czego zrzekać, bośmy cię...

(Rymsza mityguje Cichejkę)

HENRYK:

(nie zważając na Cichejkę)

Lecz nie upadajcie na duchu! Lecz nie ulegajcie zwątpieniu, nasza siła w jedności, braterstwie i zgodzie...

III. ROBOTNIK:

Teraz to do zgody, a jak Winter dawał podwyżkę, to zgody nie było...

HENRYK:

Nie zrozumieliście mnie, towarzyszu...

III. ROBOTNIK:

Tyle rozumiem, że nam się chce jeść...

(pomruk potakujący)

ZELTNER:

Towarzysze, nie ma o czym gadać, po rewirach i do bojówki!...

CICHEJKO:

Dalej! Szkoda czasu!

RYMSZA:

Idziemy! idziemy!

WAŁOWICZ:

Z Remlerem by się prędzej dogadał!

SZTURMAN:

Dosyć zawracania!

(Poruszenie ogólne, robotnicy naciskają czapki i otwierają drzwi na prawo i wychodzą)

GŁOSY ROBOTNIKÓW:

Ano mówiłem! A Winterowi się stawiał!...

HENRYK:

(usiłuje zatrzymać odchodzących)

Towarzysze, zastanówcie się, nie czyńcie mi tej krzywdy, pozwólcie sobie przedłożyć...

ZELTNER:

Co pan masz do mówienia?...

HENRYK:

Panie Zeltner...

CICHEJKO:

(odsuwa na bok Zeltnera)

Czekaj! No, co jeszcze, panie Chwilecki?... Gwałtem chce pan między nami porządek prowadzić... zrób no pan najpierw porządek u siebie w domu... na dwóch stołkach nie siedź, no i pilnuj aby, kiedy narzekasz na nędzę, baba ci się nie rozbijała z kawalerem...

HENRYK:

(rzuca się ku Cichejce)

Łotrze, jak śmiesz spotwarzać!...

RYMSZA:

(staje między Henrykiem a Cichejką)

Ustąp Cichejko...

CICHEJKO:

A co, może go się boję...

HENRYK:

Precz z mego domu!...

(Zeltner pociąga Cichejkę ku drzwiom na prawo, Szturman stoi we drzwiach, Wałowicz około Rymszy)

CICHEJKO:

Słyszycie go, jak zagadał...

ZELTNER:

Dosyć, co ci do niego! Pluń!

HENRYK:

Taki gałgan! taki gałgan!

RYMSZA:

No, nie masz pan czego się oburzać, lepiej byś z tym Winterczakiem się rozmówił!...

(Szturman, Zeltner, Rymsza, za nimi Wałowicz rozprawiając wychodzą)

HENRYK:

(za odchodzącym Wałowiczem)

Panie Wałowicz, powiedz pan, taki nicpoń...

WAŁOWICZ:

(przystaje)

Nie, panie Chwilecki, tylko że go żgnęło, iż pan znów przeciwko terrorowi, no i powiedział panu trochę prawdy... taka jego natura...

(kłania się ruchem ręki i odchodzi)

(słychać zgiełk pomieszanych, stopniowo oddalających się głosów)

HENRYK, potem ELKA.

(Henryk stoi osłupiały, poglądając na drzwi, za którymi zniknęli delegaci, po pauzie, odwraca się, idzie ku firance, osłaniającej przejście do salonu i rozslania ją gwałtownie, przed Henrykiem staje Elka, blada, poruszona)

HENRYK:

(chwyta ją gorączkowo za rękę)

Elko, Elko... słyszałaś!... Słyszałaś!

(ciągnie ją ku środkowi sceny)

Ty musisz wiedzieć!... Mów, mów całą prawdę! Alfred? co?... Więc ty, ty służyłaś za pozór?! No... odpowiadaj!... Więc tak?!...

ELKA:

Henryku, nie unos się...

HENRYK:

Odpowiadaj na pytania, no, czy słyszysz?!...

ELKA:

(nerwowo)

Nie, nie, to nieprawda...

HENRYK:

Kłamiesz!...

(odpycha Elkę).

SCENA XI.

ELKA, HENRYK i MARYA.

MARYA:

(wchodzi drzwiami z lewej)

A cóż tu się dzieje... Co ci jest, Elko?... A i ty?...

HENRYK:

Elko, odejdz stąd!...

(Elka się ociąga)

Odejdź!... precz!...

(Elka odchodzi na lewo chwiejącym się krokiem)

SCENA XII.

HENRYK i MARYA.

MARYA:

(rozdrażniona)

Ależ, cóż to wszystko ma znaczyć!...

(Henryk chce mówić, przerywa mu)

A, nie, za pozwoleniem, w każdym bądź razie nie masz prawa zachowywać się tak po grubiańsku... Elka jest moją siostrą!...

HENRYK:

I nie odrodną!...

MARYA:

Widzę, że przejąłeś nawet obyczaje proletaryatu...

(zawraca ku drzwiom)

HENRYK:

(zastępuje jej drogę)

Zostań... mam z tobą do pomówienia!...

MARYA:

(zaniepokojona)

A?...

HENRYK:

Imię twoje łączą z imieniem Alfreda Wintera...

MARYA:

(pomieszana)

A... nie wiedziałam... moje... moje z Alfreda?...

HENRYK:

Odpowiadaj...

MARYA:

Henryku... pozwól, Henryku... nie wiem skąd...

HENRYK:

Muszę znać całą prawdę...

(chwyta ją za rękę)

Może się zaprzesz?... Zdradasz mnie, oszukujesz haniebnie, siostra służy ci za parawan!... No, dalej mów!... Okłamujesz mnie, usypiasz moją czujność udawanym przywiązaniem! No!... Czemu nie mówisz?...



HENRYK:

Mów, nikczemna, niech znam całą twą niegodziwość, niech zmierzę otchłań twojej przewrotności, niech wiem, jakiego żądać porachunku!...

(Marya porusza ledwie wargami, Henryk targa nią za ramiona)  
Co?...

Chcesz, żebym ci prawdę z gardła wydarł?...

MARYA:

Henryku, czego ty chcesz odemnie?... Zmiłuj się, Henryku, ja sama chciałam, tak, ja sama chciałam ci powiedzieć!... Henryku, uszanuj we mnie choć człowieka!...

HENRYK:

Człowieka...

(puszcza ręce Maryi)

MARYA:

Przecież sam mówiłeś, przecież sam tłumaczyłeś... Ja, ja... ani myślałam cię oszukiwać... Ja tylko nie mogę, ja twego życia nie rozumiem!... Ja dawno chciałam... bo wszak, Henryku, mam też same prawa!... Nie kłamałam, nie udawałam... to tyś nie chciał mnie zrozumieć...

(płacze)

I ja doprawdy... nie zasłużyłam sobie, abys mnie traktował... jak ostatnią...

(szlocha)

HENRYK:

(toczy walkę wewnętrzną, zapiera się rękami o biurko i mówi z wysiłkiem)

Idź... jesteś wolna... masz równe prawa...

(Marya patrzy nieufnie na Henryka, postępuje kilka kroków, zatrzymuje się, patrzy ku Henrykowi i wychodzi na lewo).  
(Światło na scenie przyciemnia się).

SCENA XIII.

HENRYK, potem KATARZYNA.

(Po odejściu Maryi, Henryk osuwa się na fotel za biurkiem i trwa przez chwilę, tocząc walkę wewnętrzną, ręce jego nerwowo zapierają się na biurku i natrafiają na brauning Kalecińskiego, Henryk ujmując za rewolwer i dobywa go z pod papierów, zaczem zrywa się i zaczyna wdziewać palto, za sceną równocześnie rozlega się dzwonek).

KATARZYNA:

(wchodzi z salonu z wyladowaną mocno kopertą)

Proszę pana, przyszedł woźny z kantoru, od pana Alfreda Wintera, przyniósł ten list i prosi o pokwitowanie...

HENRYK:

(odbiera machinalnie list)

Dobrze...

KATARZYNA:

I koniecznie o to pokwitowanie...

(wychodzi)

(Henryk patrzy niepewnie na list i rzuca na biurko, chce odchodzić, lecz zastanawia się, idzie do biurka i rozrywa kopertę,

na biurko padają banknoty i przykrywają rewolwer. Henryk  
dobywa list, czyta i osuwa się na fotel, ręce jego, tarmosząc  
banknoty, natrafiają na brauning).  
(Światło na scenie ściemnia się).

HENRYK:

Mrok... mrok...

(chwyta za brauning, przykładą do czoła, strzela i pada).

KONIEC.

Chelles w marcu 1907 roku.



Wydawnictwa Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

## POLONIA IRREDENTA

Wydanie drugie. — Cena kor. 2.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

## LEKKOMYŚLNA SIOSTRA

Komedia w czterech aktach. Cena kor. 1·50.

## ASZANTKA

Komedia w trzech aktach. Cena kor. 1·50.

## MAJOWE SŁOŃCE

Komedia w jednym akcie. Cena kor. 1—.

BRZozowski STANISŁAW.

## KULTURA I ŻYCIE

Treść: I. Zagadnienia sztuki i twórczości: Medyceusze. W odpowiedzi na protest. Miriam. Czechow. Staff. Norwid. Nad grobem Ibsena. Koniec legendy.

II. W walce o światopogląd: Katarakty. Kant. Etyka Spencera. Monistyczne pojmowanie dziejów. Zagadnienia i drogi nowoczesnej filozofii. Zagadnienie wartości i psychologia. Cena kor. 4—.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

## WŚRÓD OBCEJ

Zarysy i notatki literackie.

Treść: Artyści i publiczność. — Mistycy i nawróceni w literaturze współczesnej. — M. Maeterlinck, jako moralista. — Ed. Schuré. R. Doumic. M. Nordau. Fr. Sarcey. — Symboliści i dekadenci w literaturze francuskiej. — G. d'Annunzio i powieść włoska. — Poezja współczesna włoska. — J. Ruskin i estetyka uwielbienia. — J. Zeyer. Cena kor. 3—.

Pierwsze krytyczne, zupełne wydanie

## PISM ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

wydane z autografów przez Prof. Tadeusza Pińskiego, ze słowem wstępnym i biografią poety, przez prof. dra Józefa Kallenbacha.

Cena za 8 tomów kor. 20.— W ozdobnej oprawie kor. 30.—  
Wydanie w 6 tomach kor. 12.—, w opr. kor. 20.—.

MARYA KONOPNICKA.

(JAN WAREŻ)

## PRZEZ GŁĘBINĘ

Poemat. — Cena kor. 1'60.

W. M. KOZŁOWSKI.

## WYKŁADY O FILOZOFII WSPÓŁCZESNEJ

Cena kor. 5.—, w oprawie kor. 6.—.

Spis rzeczy: 1. Pojęcie filozofii współczesnej. Saint-Simon jako inicjator jej głównych prądów. — II. Aug. Comte i pozytywizm. — III. Nowa filozofia religii (Dawid Strauss i L. Feuerbach). — IV. Materyalizm w Niemczech i przyrodznawstwo filozoficzne w Anglii. — V. Przyrodniczy pogląd na świat. (Wymagania metodyczne. Siła i materya. Początek i koniec świata). — VI. Przyrodniczy pogląd na świat. (Początek i rozwój życia. Pochodzenie człowieka. Mózg i dusza. Zmysły i wiedza). — VII. Jan Stuart Mill i pozytywizm angielski. — VIII. Pozytywizm angielski. — Herbert Spencer. — IX. Filozofia na podstawach krytycyzmu kantowskiego. (Neokatyzm. — Wilhelm Wundt). — X. Kosmopolityzm i socjalizm na podstawie materialistycznej. (Arnold Rüge i Karol Marx). — Pesymizm i optymizm. (Schopenhauer i Dühring. — XII. Indywidualizm (Max Stirner i Nietzsche).

J. MASKOFF.

## PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW

Dwa tomy, koron 6'—.

WIEŚLAW SCLAVUS (Autor „Ugodowców“).

KRÓLOBÓJCY Cena kor. 5'—.

ANARCHIŚCI Cena kor. 4'—.

NIHILIŚCI

GUY DE MAUPASSANT.

## PRZY ŚWIETLE KSIĘŻYCA

NOWELE. — Przełożył ZYGMUNT KŁOŚNIK.

Cena koron 1'50.

MIŁOŚĆ NOWELE  
Przełożył ZYGMUNT NIEDŹWIECKI.

Cena koron 1'50.

KURCZYUSZ ALEKSY

## STUDYA SOCYOLOGICZNE

Cena koron 1'50.

Ujednostajnienie poglądu na zadanie socjologii. — Istota zjawisk narodowościowych. — Istota zjawisk moralnych. — Uogólnienia biologiczne na usługach socjologii. — Biopsychika — Istota zjawisk religijnych. — Istota zjawisk prawnych i państwowych. — Rola sugestyi w życiu społecznym. — Znaczenie płciowości w życiu społecznym.

Wydawnictwa Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie.

PROF. AUGUSTA FORELA

## Zagadnienia seksualne

roztrząsane ze stanowiska nauk przyrodniczych, psychologii, higieny i socjologii. — Przetłumaczyli z niemieckiego **Dr. Władysław Witwicki**, docent wszechnicy lwowskiej, **Witold Schreiber**, profesor szkoły realnej i **T. Witwicki**, prof. gimnazjalny.

Dwa tomy kor. 10.—, w opr. kor. 12.—.

SÖREN KIERKEGAARD

## DZIENNIK UWODZICIELA

Przetłumaczył z duńskiego Stan. Lack. — Cena kor. 2'60.

KAROL IRZYKOWSKI **PAŁUBA** Cena kor. 5'50.

Sny Maryi Dunin (palimpsest). — Pałuba (studium biograficzne). — Uwagi do »Pałuby«. — Wyjaśnienie »Snów Maryi Dunin« i związek ich z »Pałubą«. — Szaniec »Pałuby«.

RUDYARD KIPLING

## Pierwsza Księga Dżungli

## Druga Księga Dżungli

Przetłumaczył z angielskiego Teodor Mianowski. — Ilustrował Władysław Witwicki. — Cena po kor. 4.—.

Wydawnictwa Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie.

ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

## - EROTYKI -

ZBIÓR NOWEL Cena Kor. 2'50.

NOWE EROTYKI Cena Kor. 2'50.

SCHWOB MARCELI

## KSIĘGA MONELLI

PRZEKŁAD BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

Cena kor. 1'50.

JERZY HORACYUSZ LORIMER

## LISTY JOHNA GRAHAMA

Z łaski losu i własnego sprytu kupca, naczelnika firmy Graham i Sp. wywóz bydła nierogatego w Chicago, znanego na giełdzie pod przydomkiem „Starego Ryły“

### DO SYNA PIERREPONTA

krotochwilnie przez druhów przezwanego „Ryjkiem“.

Przetłumaczył z ang. Stan. Lack.

Cena kor. 2'60.

GABRIELE D'ANNUNZIO

ROMANSE LILII I. **DZIEWICE SKAŁ.** — Przetłumaczył z włoskiego Leopold Staff. **Cena 3 K.**

DZWONY **TREŚĆ:** Dzwony. — Episcopo i sp. — Bohater. — Męczennik. — Skrzynia. — Cekiny. — **Cena 1'50 kor.**

ROMANSE RÓŻY I. **Rozkosz.** Przekład Józefa Ruffera. — **Cena Kor. 4'—.**  
II. **Niewinny.** Przekład Leopolda Staffa. **Cena Kor. 4'—.**  
III. **Tryumf śmierci.** Przekład Leopolda Staffa. **Cena Kor. 5'—.**

## „KSIĘGĘ ZDROWIA”

dzielo ilustrowane, poświęcone popularnej nauce higieny, w czterech tomach (około 3900 stronice) z 432 rycinami w tekście i 114 jedno- dwu- i trójbarwnie kolorowanymi tablicami, przez znakomitych specjalistów lekarzy opracowane, nabywać można w komplecie czterotomowym (w oprawie) po cenie kor. 30.— lub w pojedynczych tomach, z których każdy stanowi dla siebie osobną całość, a mianowicie:

1. **Cel i zadanie pielęgnowania zdrowia.** Prof. dr. J. Orth. Kor. 1.—
2. **Pielęgnowanie zdrowia w życiu codziennem.** Dr. E. Grawitz. Kor. 1:20.
3. **Odżywianie i nasze środki spożywcze.** Prof. dr. M. Rubner. Z licznymi tabelami. Kor. 1:80.
4. **Hygiena ubrania.** Prof. dr. Jaeger. Z 90 rycinami. Kor. 3:60.
5. **Powietrze, światło i gimnastyka.** Dr. P. Jaerschky. Z 42 rycinami i 1 tablicą ćwiczeń z tabelami. Kor. 2:40.
6. **Woda jako czynnik pielęgnujący zdrowie.** Dr. H. Rieder. Z 8 tablicami i 20 rycinami w tekście. Kor. 1:80.
7. **Hygiena przemiany materji.** Prof. dr. A. Dennig. Z 1 tablicą kolorową i 5 rycinami w tekście. Kor. 1:80.
8. **Hygiena krwi.** Radca medycyny dr. K. Walz. Z 8 barwnymi rycinami na 20 tablicach. Kor. 1:80.
9. **Hygiena serca i naczyń krwionośnych.** Prof. dr. H. Eichhorst. Z 18 rycinami. Kor. 1:80.
10. **Hygiena płuc.** Radca dworu prof. dr. L. Schrötter de Kristelli. Z 18 rycinami. Kor. 2:40.
11. **Hygiena żołądka, jelit, wątroby i nerek.** Radca tajny prof. C. A. Ewald. Z 3 barwnymi tablicami i 3 rycinami w tekście. Kor. 1:80.
12. **Bakterje i choroby zakaźne.** Radca dworu prof. dr. M. Schottelius. Z 33 rycinami i 7 barwnymi tablicami. Kor. 3:60.
13. **Hygiena oka.** Prof. dr. O. Sicherer. Z 3 kolorowanymi tablicami i 12 rycinami. Kor. 1:80.
14. **Hygiena ucha.** Prof. dr. R. Haug. Z 3 tablicami. Kor. 1:20.
15. **Hygiena nosa, gardła i krtani.** Prof. dr. H. Neumayer. Z 3 tabl. Kor. 1:80.
16. **Hygiena zębów i jamy ustnej.** Prof. dr. G. Port. Z 2 tablicami i 6 rycinami. Kor. 1:20.
17. **Hygiena skóry, włosów i paznokci.** Prof. dr. E. Riecke. Z 17 ryc. K. 2:40.
18. **Zapobieganie chorobom kobiecym.** Docent dr. O. Schaeffer. Z 21 rycinami. Kor. 1:80.
19. **Hygiena okresu macierzyństwa.** Docent dr. O. Schaeffer. Z 8 rycinami. Kor. 1:20.
20. **Hygiena wieku dziecięcego.** Docent dr. J. Trumpp. I. **Niemowlęctwo i pierwsze lata.** Z 5 rycinami. Kor. 1:20.
21. **Hygienia wieku dziecięcego.** Docent dr. J. Trumpp. II. **Wiek szkolny.** Kor. 1:20.
22. **Zapobieganie zniekształceniom ciała.** Prof. dr. J. Langie i dr. J. Trumpp. Z 3 tablicami i 120 rycinami w tekście. Kor. 2:40.
23. **Hygiena życia płciowego.** Prof. dr. M. Gruber. Z 17 kolorowanymi rycinami na 2 tablicach. Kor. 1:20.
24. **Hygiena nerwów i umysłu.** Prof. dr. A. Forel. Z 3 tablicami i 8 rycinami. Kor. 3:60.

wstępem i biografią poety przez prof. dra Józefa Kallenbacha, z licznymi portretami i podobiznami autograf., 8 tomów . . . . .	Kor. 30.—
W ozdobnej oprawie . . . . .	36.—
<b>Kulczycki I.</b> Współczesne prądy umysłowe i polityczne. Szkice . . . . .	3.—
<b>Kurcysz Aleksy.</b> Studja socyologiczne . . . . .	1:50
<b>Lorimer Jerzy.</b> Listy wielkiego przedsiębiorcy do syna. Przekład St. Lacka . . . . .	2:60
<b>Maeterlinck M.</b> Skarb pokornych . . . . .	1:60
<b>Maupassant Guy de.</b> Przy świetle księżycy . . . . .	1:50
— Mitość. Nowele . . . . .	1:50
<b>Morris W.</b> Wieści z nikąd. Powieść utopijna . . . . .	2.—
<b>Niedźwiecki Z.</b> Erotyki . . . . .	2:50
— Nowe Erotyki . . . . .	2:50
<b>Niemojewski Andrzej.</b> Polonia Irredenta. Wyd. drugie . . . . .	2.—
<b>Nowaczyński A. N.</b> Siedm dramatów jednoaktowych. — Skotopaski sowizdrzalskie . . . . .	4.—
<b>Pamięci Mikołaja Reja</b> . . . . .	4.—
<b>Orkan W.</b> Skapany świat. Dramat w trzech aktach. — Z tej smutnej ziemi . . . . .	1:20
<b>Perzyński Włodzimierz.</b> Lekkożylna siostra. Komedia w 4 aktach . . . . .	1:50
— Aszantka. Komedia w 3 aktach . . . . .	1:50
— Majową słońce Komedia w 1 akcie . . . . .	1.—
<b>Poe E. A.</b> Morderstwo na rue Morgue i inne nowele . . . . .	3.—
<b>Przewodnik po Neapolu</b> z trzema planami . . . . .	3.—
<b>Przewodnik po Pompei, Herculanium i Capri,</b> z planem wykopalisk Pompei . . . . .	1:20
<b>Przewodnik po Palermo,</b> z planem miasta . . . . .	1:20
<b>Przewodnik po Tatrach.</b> Napisał Janusz Chmielowski . . . . .	6.—
<b>Przewodnik po Wenecyi,</b> z planem miasta . . . . .	3.—
<b>Przewodnik po Włoszech południowych i Sy-cylii</b> z jedenastu planami miast i mapami . . . . .	6.—
<b>Przybyszewski St.</b> Złote runo . . . . .	1:40
— Goście . . . . .	—80
— Na rozstaju . . . . .	3:60
— Po drodze . . . . .	3:60
— W malstromie . . . . .	3:60
— Na tym padole placzu . . . . .	2.—
— Dzieci szatana . . . . .	4.—
— Matka . . . . .	1:50
— Requiem aeternam . . . . .	2.—

	Kor.
<b>Przybyszewski St.</b> Synowie ziemi. Powieść . . . . .	4—
— Taniec miłości i śmierci . . . . .	2—
— Dla szczęścia . . . . .	2—
<b>Ruffer J.</b> Postanie do dusz . . . . .	2—
<b>Schreiber W.</b> Twórcy bogów. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych. Z 78 rycinami w tekście . . . . .	6—
W ozdobnej oprawie . . . . .	7—
<b>Schwob Marceli.</b> Księga Monelli. Przekł. Bronisławy Ostrowskiej . . . . .	1:20
<b>Staff. L.</b> Dzień duszy . . . . .	2:60
— Mistrz Twardowski. Z ilustracjami E. Okunia . . . . .	6—
W oprawie . . . . .	8—
— Najmłodsza pieśń polska (antologia) . . . . .	3—
W ozdobnej oprawie . . . . .	4—
— Skarb, tragedia w trzech aktach Kor. 4—, w opr. . . . .	5—
— Ptakom niebieskim Kor. 3:50, w oprawie . . . . .	4:50
— Sny o potędze. Wydanie drugie. Poezje . . . . .	2:60
W oprawie . . . . .	3:60
— Godiwa, dramat. Kor. 2:60, w oprawie . . . . .	3:60
<b>Stefanyk W.</b> Klonowe liście . . . . .	1:20
<b>Szarska H.</b> Dyletanci grzechu . . . . .	1—
<b>Szelągowski A. dr.</b> Wzrost państwa polskiego w XV. i XVI. w. Polska na przełomie wieków średnich i nowych Kor. 6—, w oprawie . . . . .	7:20
— Walka o Bałtyk (1544—1621). Sprawa północna w wiekach XVI. i XVII Kor. 6— w oprawie . . . . .	7:20
— Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego . . . . .	6—
W oprawie . . . . .	7:20
<b>Szuman J. N.</b> Fryderyk Nietzsche jako człowiek i myśliciel . . . . .	2—
<b>Tołstoj L. hr.</b> Zagadnienia seksualne . . . . .	1:60
<b>Wagner R.</b> Latający Holender . . . . .	—:80
— Walkirya . . . . .	1:80
— Parsifal . . . . .	1:40
<b>Walczewski Z. R.</b> Zagadnienia socjalizmu . . . . .	2:40
<b>Willy.</b> Klaudyna w szkole. Tłumaczyła W. Dalecka . . . . .	3—
— Kludyna w Paryżu . . . . .	3—
<b>Zapolska G.</b> Fin de-siècle'istka . . . . .	4—
— Jak tęcza. Powieść . . . . .	4—
— Przedpiekle . . . . .	3:50
— Menażerya ludzka . . . . .	3—
<b>Zbierzchowski H.</b> Na złotej przełęczy, scherzo powieściowe . . . . .	2—
<b>Żuławski J.</b> Dyktator . . . . .	4—

Prm 18/20/60  
18/x/66

30  
082923  
18.5.66

821.162.1

Gąsiorowski  
Mrok

25030